

W Warszawie na koncertantów urodzaj jak dawno nie pamiętamy. Obecnie przyjechały dwie panny Delepierre, artystki na skrzypcach, które w przyszłym tygodniu mają dać się słyszeć w teatrze Wielkim. Są to dzieci jeszcze, a dzienniki francuskie i angielskie, z których wyjątki mamy pod ręką, z wielkimi o nich odzywają się pochwałami, uważając talent do muzyki tak przedwcześnie w nich rozwinięty za dziwne zjawisko w świecie muzycznym. Nawet *Revue des deux mondes*, tak surowa zwykle w swoich sądach, starszą pannę Julię Delepierre porównywała z Mozartem, który w tym samym co ona wieku występował z wielkim powodzeniem na dworze ówczesnej cesarzowej rzymsko-niemieckiej. W koncertach Ole Bulla także dziwne zauważaliśmy zjawisko. Dwa pierwsze wystąpienia tego znakomitego skrzypka przyniosły zaledwie połowę zwykłego dochodu; za to trzecie było pełne i czwarte bardzo liczne. To dowodzi, że gustem publiczności naszej pokierować można wedle woli, i że prawdziwie dobre rzeczy gwałtem prawie narzucić jej się dadzą. Powinnoby to być wskazówką w dalszym urzędzeniu repertoaru teatralnego.

Wykłady pana Kotkowskiego w auli Szkoły głównej zaciekawiają słuchaczy zdobycami nauki, rzucającami niepewne jeszcze światło na czasy tak oddalone od nas, że rachunek nie tylko lat, ale wieków nawet ginie zupełnie. Mamuty i plesiosaury nie spisywały wprawdzie roczników, ale kości ich starczą za fakta historyczne, a z badania pokładów ziemi naszej odkrywamy straszne dramata, które przed tysiącami lat odgrywały się na jej niesfornej jeszcze powłoce. Doprawdy, warto posłuchać, bo słowo uczonego profesora za książki całe staje.

Cieszymy się nadzieją, że ceny na papier, tak wygórowane u nas, ulegną choć skromnemu zmniejszeniu. Nadzieję tę pokładamy na założeniu nowej fabryki w Mirkowie, na granicy pruskiej, koło Wieruszowa. Właścicielem tej fabryki jest pan Banasch et comp., dyrektorem zaś pan Roemer, znany z długoletniego doświadczenia w tej gałęzi przemysłu. Główny skład w Warszawie ma być urządzony w handlu pana Flatau. Wróżymy tej fabryce powodzenie, byle tylko wyrabiała papier dobry i stosunkowo tani.

#### KORESPONDENCYA OD REDAKCYI.

*Panu L. M. w Warszawie.* Z nadesłanych dwóch rebusów jeden tylko zostanie użyty.

*Panu F. R. w Humaniu.* Zwracamy uwagę pańską (podobnie jak wielu innych prenumeratorów naszych zgłaszających się z reklamacjami tego rodzaju) na tę okoliczność, że nieodebranie którejś części powieści p. t. „Helena“ jest rzeczą absolutnie niemożliwą; powieść ta bowiem drukuje się razem z innymi artykułami każdego numeru Tygodnika na jednym olbrzymim arkuszu i stanowi z nimi całość nierozdzieloną. Co innego zupełnie zatrącenie przypadkowe, które każdemu z czytelników po rozcięciu arkusza zdarzyć się może, a któremu chętnie zawsze zaradzamy, o ile naturalnie starczy nam zapasowych egzemplarzy. Żądany numer posyłamy.

*Pani J. M. w X.* Otrzymane wierszyki zapowiadają pewną zdolność poetycką, dotychczas jednak dostatecznie nie wyrobioną. Usilna praca i zapatrywanie się na dobre wzory, z czasem zapewne ją wykształci.

#### Józef Sławiński.

(Wspomnienie pośmiertne).

Kilka dni temu niezwykle ruch ożywił na chwilę skromną pogrzebową kaplicę szpitala św. Ducha. Miał się odbyć pogrzeb śp. Józefa Sławińskiego.

W około ubogiej trumny kupiły się twarze, które w miejsce zwykłego młodzieży życia i wesela, powlekała chmura nieudanego smutku. Bolesne zwątpienie ścisła serca obecnych, a w tej chwili żalność i nieufność silnie mówiła niż wiara, ciche podanie się nie każdym umysłem ovladnąć mogło.

Czas i życie obrywają listek po listku z tego cudnego wianka złudzeń i rojeń, jaki w piersiach uwiła młodość i wiara; czas i życie z niezłomną wytrwałością podkopują i niszczą najszlachetniejsze zasady i poczucia. I oto znowu ta trumna, to martwe ciało co w niej spoczywa, jakaż to gorzka ironia, szydząca z naszej wiary, że wszystko co dobre, zacne i silne duchem, nie zniknie bez owocu, nie przejdzie jak głos bez echa, nie utonie w niepamięci.

Podobne myśli zajmowały tych, którzy zeżawio-

nym wzrokiem wpatrywali się w rysy dziś martwe, a jeszcze niedawno tak tchnące energią i myślą.

Po chwili trumna spoczęła na ramionach kolegów zmarłego: poniosła ją młodzież szkoły Głównej. Obok postępował szanowny jej rektor, otoczony liczny orszakiem studentów, умеjących cenić ojcowski jego postęp.

Cicho wstępował żalobny orszak w progi cmentarza, a ramiona akademickiej młodzieży splotły się pod wspólnym drogim dla nich ciężarem z ramieniem pożarnego strażaka, którego łzy spływające po ogorzałej twarzy, wymownie świadczyły o stracie jaką wspólnie z innymi ponieśli. A kiedy nad grobem, co otworzył ramiona gotowe przyjąć cielesną powłokę zmarłego, dał się słyszeć serdeczny bo koleżeński głos młodego kapłana, kiedy ostatnia prośba o wieczny pokój, o światłość wiekiustą umilkła, długo tłumione łzy padały z oczu kolegów i rosiły świeżą mogiłę, nad którą klęczeli starzy rodzice. Bezśłowna, niema, ale tym większą była ich boleść. I jakże być miało inaczej, kiedy ta ziemia na którą patrzyli, na wieki im skryła syna, co bez zawadnie mógł być chlubą każdej rodziny, co był całą ich nadzieją i pociechą, jak był nadzieją i wzorem dla tych, którzy z nim każdą myślą i uczuciem dzielić się przywykli.

Pięć lat mija od czasu otworzenia kursów przygotowawczych do szkoły Głównej. Ciekawem dla psychicznego badacza było to zgromadzenie. Jak piękna mozaika uderzało wyrazem harmonii, jak ona składało się z różnobarwnych, odrębnych żywiołów.

Najsilniejsze inteligencje siadały obok mierności; modny surducik ocięrał się o wytarte łokcie sąsiada; towarzyska ogląda spotykała się (na każdym kroku z szorstką prostotą; religijne namaszczenie stanowiło rażącą sprzeczność z namiętnym wątpieniem lub zimną niewiarą.

Uwagę niejednego zwracał kolega o twarzy bladej, jakby zmęczonej długim czuwaniem, a tchnącej życiem i prawdą. Niejeden słuchał z zajęciem myśli śmiałych i zdrowych wypowiedzianych jędrnym słowem, które z dziwną łatwością w piękną oblała szatę. I zaraz w każdym budziła się chęć poznania młodzieńca, który nieraz w rozmowie dziwił obecnych, zwracając ich w nową, nieznana sferę społeczeństwa warszawskiego, odsłaniając im z uderzającą znajomością rzeczy wszystkie tajniki życia rzemieślników. Ten stan wielkiego znaczenia społecznego, w codziennych stosunkach nie obcy nikomu, w istocie znany jest tym tylko, których potrzeba lub przypadek w bezpośrednie zetknięcie z nim wprowadzą. Między kształcąca się młodzieżą dla wielu zupełnie on obcy; inni wyobrażają go sobie zbyt sielankowo, a największa liczba grzeszy lekceważeniem, na jakie rzemieślnik pod żadnym względem nie zasługuje. Bo nieraz zapewne probierczy kamień dziwne dałby tu wypadki; pod niekształtną powłoką w rzemieślniku znalazłby szlachetny kruszec, gdy z drugiej strony ścięrając powierzchowny szych ukształcenia i oglady, wykryłby nicieść w zasadzie.

U nas zwykle dziecku zabrania się, słusznie po części, bo ze względów obyczajowych, wszelkiej styczności z tym *ulicznikiem*, jak nazywają każdego prawie terminatora; ale dziecko za przyczynę zakazu uważa różnicę ubrania. Widać to aż nadto dobrze, niestety, nawet w szkołach publicznych. Syn rzemieślnika ma sobie za obelgę rzuconą nazwę rzemiosła którym się ojciec jego zajmuje. I nic dziwnego: dzieci raz napojone przesądami których nikt potem nie wykorzenia, przeprowadzają je konsekwentnie w czyny, które drażniąc coraz więcej i tak już naprężony stosunek dwóch obozów jakie najczęściej w klasie istnieją, kończą się nieraz wywołaniem gwałtownego zajścia.

Lecz jeśli syn rzemieślnika niejednej dozna przykrości, siedząc na szkolnej ławie z jakim przyszłym dziedkiem, to o ileż przykrzejszym w porównaniu jest los rzemieślniczych terminatorów, dla których pole umysłowego kształcenia się wytknięto tak ciasne i trudne, zaledwie raz na tydzień, w niedzielę, zajmując ich kilka godzin nauką, po całotygodniowej pracy, trwającej popolicie od świtu do wieczora.

Życie Józefa Sławińskiego przekonało wszystkich, że energia, wytrwałość i zabiegłość na każdym stanowisku społecznym piękną przyszłość wywalczą sobie mogą. W istocie ów młodzieńiec przodujący kolegom uniwersyteckim wykształceniem, obszerną

nauką i zacnym charakterem, niezbyt jeszcze dawno był terminatorem rzemieślniczym. Ubogi ojciec jego dotąd pod jednym z warszawskich kościołów posiada stragan, a na nim drobny towar, złożony z krzyżyków, obrazków i innych religijnych pamiątek. O kształceniu naukowym syna, rodzice i myśleć nie mogli. Józef został terminatorem. Te lata twardego nowicyatu upamiętniają się każdemu rzemieślnikowi. Pełni on wtedy najniższe nieraz posługi dla majstra, majstrowej, czeladzi, i od nich wszystkich karcony, nie znajduje zwykle nikogo, coby o jego umysłową i moralną stronę się troszczył. W najprzykrzejszych warunkach Sławiński zajął się, jako terminator jeszcze, własnym wykształceniem. Po dniu ciężkiej pracy fizycznej, nocami pracował nad książką.

Przykroby tu było powtarzać, ile w tém doznał przeszkód od otaczających go głosów, jak dotkliwym był mu nieraz brak świecy, której nie miał za co nabyć.

W istocie, kto nie znał bliżej s. p. Sławińskiego, jego niezłomną wolę i wytrwałość, temu uwierzyć trudno, że ów poniewierany terminator, po paru latach dorywczej pracy, przebiegłszy cały cykl nauk gimnazyalnych, zdał pomyślnie egzamin do szkoły przygotowawczej, gdzie się jego inteligentna osobistość na tle kolegów wybitnie rysowała. A przecież było tak rzeczywiście. Dzielać czas między naukę i udzielanie lekcji z których się utrzymywał, po roku został studentem wydziału prawnego w szkole Głównej.

Z niestetygnącym zapalem i tutaj rwał się do pracy. W krótkim czasie, bez obcej pomocy, poznał dokładnie kilka języków, a z takim zasobem niezmordowane studia postawiły go w rzędzie studentów, o których profesorowie i koledzy mają uzasadnioną nadzieję, że sami z kolei posuną kiedyś naprzód umiejętność jakiej się poświęcą.

Ale choć usilnie pracował nad sobą, choć resztę czasu zajmowały mu lekcye, ani na chwilę nie przestał zajmować się dawniejszymi kolegami z warsztatu. Najwymowniejszym tego dowodem jest kilka jego artykułów, umieszczonych w *Gazecie Polskiej* i *Tygodniku Ilustrowanym*, a dotyczących losu rzemieślniczej młodzieży. Pamiętamy że w swoim czasie głosy te budziły ogólną uwagę trafnością poglądów. Gorąco tam przemawia do majstrów o ulgę w pracy dla terminatorów, o darowanie im paru godzin na umysłowe kształcenie się.

Bezwątpienia gdyby nie śmierć, która zbyt wcześnie zabrała Sławińskiego ze świata, całe siły poświęciłby stanowi z którego pochodził, a z którym się nigdy nie taił.

Nadmiarowa praca szybko wyczerpywała siły jego żywotne. Piersiowa choroba rozwinęła się gwałtownie, i tylko umiejętne starania lekarzy sprawiły, że dwa lata prawie walczył ze śmiercią.

Tę czynność i energią jaką się zawsze odznaczał, te zacne dążenia swoje do ostatniej chwili zachował. Traf zdarzył, że w tej samej sali szpitalnej gdzie leczono Sławińskiego, złożony został młody strażak, który przy pożarze warsztatów drogi żelaznej, ogarnięty płomieniem, zeskoczył z wysokości drugiego piętra i uległ mocnemu stłuczeniu. Sławiński gasnące swe siły wyczerpywał, aby czas jaki przepędzał w szpitalu dla dobra drugich poświęcić. Drżąc z osłabienia ręką kręślił w ulubionym przedmiocie oświaty rzemieślników ostatnie myśli i stłumionym głosem dzielił się z nowym towarzyszem szpitalnym zdobytą mozolnie nauką. Trudno wyobrazić sobie jak namiętnie przywiązał się do Sławińskiego ten szczególny uczeń-towarzysz. Sam chory, bezsenne noce przepędzał przy łóżku nauczyciela, śledząc każdy ruch jego, zgadując życzenia. Dziś jak relikwią chowa książkę, która mu pamiątką po zmarłym została.

Oto kilka rysów z życia człowieka, co wymownie dał świadectwo ile może praca, poparta wolą i wytrwałością.

Cześć jaką za życia otaczali go towarzysze, palący niepokój z jakim śledzili objawy choroby, te łzy wreszcie przy ostatnim pożegnaniu, dowodzą że zacne chęci, gorąca miłość ogólnego dobra nie są obojętne i tym jego kolegom, co ze smutnie zwiędzoną głową wracali z cmentarza, czując że ubyło jedno z najcenniejszych ogniwi bratniego ich łańcucha.

R. D.

## SZKICE Z ŻYCIA WARSZAWSKIEGO.

Układ i rysunek Kostrzewskiego.

(Dokończenie).

Ale nie na tém koniec. Heffter w oryginalnym dziele zamieszcza w odsyłaczach mnóstwo uczonych i ciekawych wiadomości literackich i historycznych; podaje wiele szacownych wyjaśnień i uzupełnień dogmatycznego tekstu, przytaczając ciągle dokumenta dyplomatyczne, powołując się na fakta, opinie pisarzy i t. d. Jest to bardzo ważna i użyteczna strona jego książki. Wydawcy krakowscy krótko się z tém wszystkiem załatwili: wyrzucili wszystko bez wyjątku. Wielka część wartości dzieła straconą tedy została dla polskiego czytelnika, bez rozsądnej przyczyny i bez najmniejszej potrzeby. Jeżeli ten lub ów przypisek wydawał się im czy to zbyt cennym, czy dla polskiej publiczności mniej zajmującym, to można było zastąpić go innym, lub wreszcie zmodyfikować. Ale wyrzucić wszystkie z całego dzieła, bez względu na ich wartość i użytek, to prawdziwie niewiedzieć czém wytłumaczyć. To samo także zrobiono tu i owdzie z tekstem: powyrzucano specjalne tytuły, ułatwiające przegląd i orientowanie się czytelnikowi, poopuszczano pojedyncze nawet ustępy i t. d.

Nie należymy do rzędu owych znanych w niektórych tutejszych pismach krytyków, którzy zdając sprawę z jakiego dzieła specjalnego naukowego, z wykładu filozofii czy matematyki, zamiast wykazywać zalety i wady jego treści, rzucają się zapalczywie na ortografię, składnię gramatyczną, prowincjonalizmy, a choćby na pomyłki drukarskie, i bardzo wiele o tém rozprawiając, rozwodzą się i srożą nad rzeczą zewnętrzną długo i szeroko, nie

wiedząc co powiedzieć o tém właśnie, coby głównie rozebrać należało.

W przekładzie obcych utworów, jasne i wierne wszakże oddanie myśli w swoim języku, jest względem który stanowi o użyteczności całego przedsięwzięcia. Nie możemy go przeto pominąć, a to tém więcej, że bardzo zawinili tutaj polscy tłumacze Hefftera. Autor napisał rzecz jasno i zrozumiale; zły przekład z niemieckiego przedstawia ją polskiej publiczności w formie ciemnej i nieprzystępnej.

Mnóstwo ukutych nowych terminów, długie i za-



Na raucie.

— Ah! bon jour!... Wpół do piérwszój. Czy się to godzi tak późno? Przecież ja pana prosiłam na wczoraj, nie na dziś.

— To też ja dziś przychodzę przeprosić panią, że wczoraj być nie mogłem.

wile okresy, niewolnicze tłumaczenie wyrazu za wyrazem, wreszcie ciężkie, niezgrabne jak bryły kamienne zwroty stylistyczne, czynią książkę tę tak nieprzyjemną w czytaniu, a w wielu miejscach tak prosto niezrozumiałą, że conajmniej bez ciągłego porównywania z niemieckim tekstem niepodobna jej czytać. Człowiek obeznany z przedmiotem nie może tego tłumaczenia rozumieć, a cóż dopiero młodzież akademicka, rozpoczynająca swe studia, dla której dzieło to główną ma być pomocą.

Aby nas zarzut uprzedzenia się lub niepowściągliwości w naganie nie spotkał, oto dowody niepoprawnego języka i niejasności w tłumaczeniu.

Str. 3. „Stosownie do stopnia oświaty narodów, prawo to już szczuplejsze, już obszerniejsze miało objęcie. Gruntuje się ono nasamprzód tylko na zewnętrznej konieczności albo zewnętrznej korzyści. W wyższym jednak rozwinięciu przejmują w siebie także obyczajową konieczność, korzyść obyczajową; oddalając zwolna pierwiastki nieobyczajowe, wymaga działania temi już granicami zakreślonego.“

Ustęp Hefftera, oceniający dzieła Grotiusa, tłumacze w ten sposób wyłożyli czytelnikowi:

Str. 18. „Obyczajowa przezroczystość zjednała tej książce bardzo trwałe uznanie. Lecz wkrótce już wyrobiły się co do podstawowego widoku i sposobu traktowania dwa osobliwe kierunki, z których każdy znów swoje szczegółowe ma odzienia.“



WIDOK OGÓLNY WARSZAWY OD STRONY PRAGI, ZDJĘTY

# SZKICE Z ŻYCIA WARSZAWSKIEGO.

Układ i rysunek Kostrzewskiego.

Kto, pytamy, zrozumie, co to jest *obyczajowa przezroczystość* dzieła Grotiusa, która tak wielkie uznanie mu zjednała?

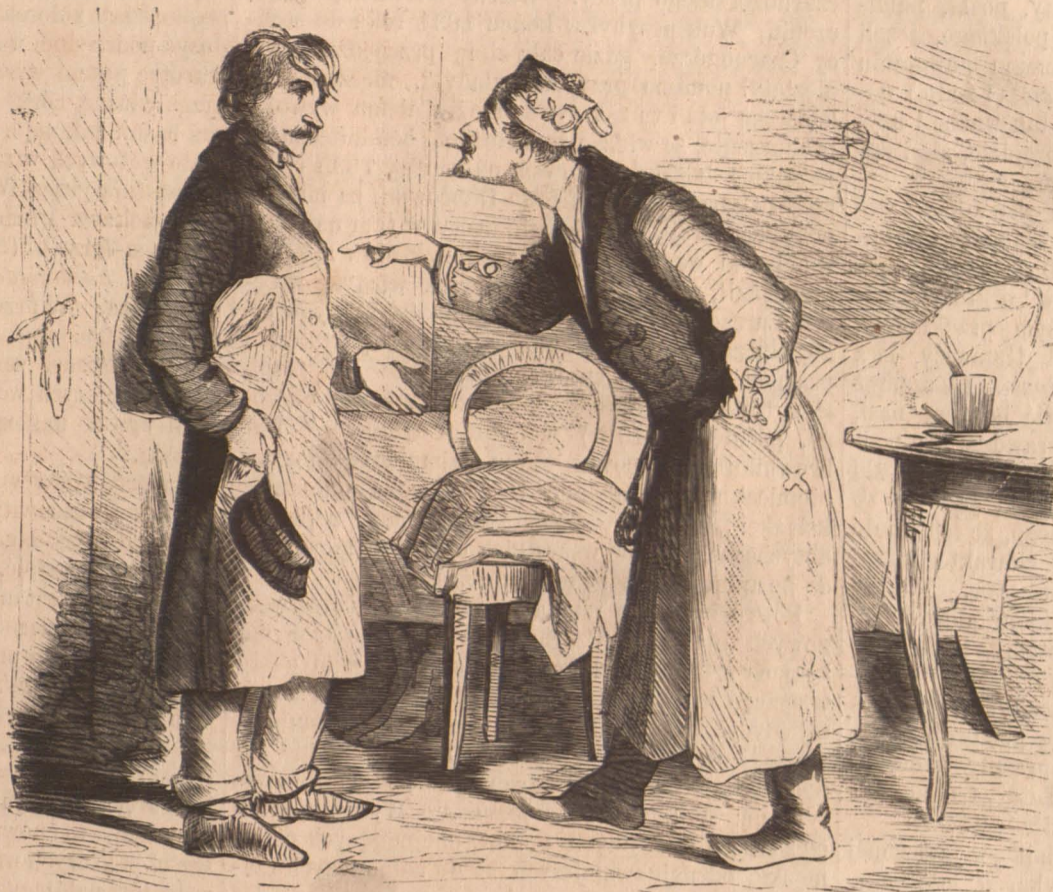
Albo np. podobna mieszana wyrazów najdziwniejszych, która na str. 20 ma być jakoby sądem przez Hefftera wypowiedzianym o grupie najznamiętszych pisarzy prawa międzynarodowego, jak: Günther, Schmalz, Klüber, Pölitz, Zachariae, którzy wedle polskiego tłumaczenia

„uważają wszędy przyrodzone prawo narodów conajwięcej za *powód influencyjny nadannosci*, lub też w razie potrzeby za prawo posiłkowe, chociaż niewiedzieć jakim sposobem dostępuje ono tego zaszczytu, na czém się wspiera, i chociaż w ogóle *nadannosc* wykładanych nauk wykazaną być nie może. Przeciwnie temu systematowi wystąpił w najnowszych czasach Pinheiro-Ferreira w komentarzu do Martensa, w duchu poprzednio wspomnianej *frakcji*, nie chcąc się obejść bez  *umiejętnej refleksji i polemiki*; zaś głównie po stronie praktyki i pozytywistów stanął Mr. Wheaton, nie zrywając *przecież z krytyką z wyższych stanowisk ogólnej sprawiedliwości*.”

Cały ten zawili galimatias staje się dopiero przystępnym po przeczytaniu niemieckiego oryginału, gdzie rzecz jasno i trafnie wyłożona.

W podobny sposób wytłumaczono na str. 39 ideę władzy najwyższej w państwie:

„*Najwyższowładztwo* (Hoheitsgewalt) nad państwem nie jest władzą *substancyjalną*, przeby-



*Krawiec.* Panie, zlituj się, miej sumienie!... Pół roku czekam na pieniądze. Nie mam na życie i sam winienem za materyały.

*Pan Alfons.* To ty kochanku gadasz drugim o sumieniu, a sam robisz długi?... Ho, ho! kiedy tak, to nie dam ci ani grosza, dopóki wpród nie popłacisz swoich rachunków.

wającą bądź w pojedynczym członku społeczności państwa, bądź w samej społeczności jako całości; ale jest to władza której zjawienie się organiczne i niezależne stanowisko jest wynikiem aktu własnej woli, przez co staje się prawem jednej lub wielu osób wspólnie.

„Z *uczynkowem nabyciem* najwyższowładztwa wewnętrznego, poczyna się wykonywanie międzynarodowych praw najwyższowładztwa.”

Taki jest styl i przekład cały tego dzieła. Czy

sługi nieistniejące wynosić, i to w sprawie która przecież pod sąd publiczny, specjalistów zostaje oddaną, tego wytłumaczyć sobie nie umiemy. I tutaj jednakowoż, nie żądając wiary na gołe słowa, przytaczamy treść rzeczzonego artykułu.

*Czasopismo* prawnego fakultetu, mówiąc o trudnościach jakie wydaniu książki towarzyszyły, oznajmia iż:

„Największą w tém przedsiębiorstwie miał pracę, a przecież wykonał ją z *wzorową gorliwością i bardzo umiejętnie*, dr. Andrzej Rydzowski, przez co około

może on być pouczającym i przystępnym dla rozpoczynającego swe studia? Przytoczyliśmy tu parę próbek tylko, których zresztą wyszukiwać nie trzeba, bo na każdej stronie jest to samo. Ale i przytoczone wystarczą, aby dać odpowiedź i usprawiedliwić powyżej wyrzeczony sąd.

Przy tylu wadach i niedostatkach, każdemu w spolszczonym dziele Hefftera widocznych, niepodobna było wyjść z podziwienia, kiedy po ogłoszeniu go ukazał się niebawem w wychodzącym do 1865 r. w Krakowie *Czasopiśmie poświęconem prawu i umiejętnościom politycznym*, przez wydział prawny Jagiellońskiego Uniwersytetu redagowanym, artykuł najwyższe pochwały autorom wydanego przekładu Hefftera oddający. W zeszytach za czerwiec r. 1864 wyczytujemy tam sprawozdanie, które właśnie podnosi i chwali to czego niema i za co najsurowsza należy się nagana. Przykro nam nad wszelki wyraz wykazywać to wszystko. Rozumiemy że mogła przez niedopatrzenie, nieuwagę, niespełnienie obowiązku ze strony osób którym uniwersytet rzecz polecił, stać się szkoda iż poniesiono koszt na druk czegoś co druku niewar-te; ale żeby jeszcze tę samą rzecz publicznie chwalić, za-



tego wydawnictwa *znamienitą* (!) sobie zjedną *zaślugę*."

Następnie tak poleca owo wydawnictwo:

"Wykład niniejszy prawa narodów powinien znajdować się w ręku każdego statysty, posła, publicysty, a nawet każdego prawnika polskiego, jeżeli godnie chce odpowiedzieć zaszczytnemu powołaniu swemu, *co przy tak umiarkowanej cenie* (14 złp.) dozwala nam tuszyć sobie, że dzieło tak ważne i użyteczne z poświęceniem nietylko się rozejdzie, ale i do czeka się wnet wydania powtórnego.

"Rozwodzić się obszernej nad ważnością i wewnętrzzną wartością niniejszego wykładu prawa narodów, nie widziemy potrzeby. Dość będzie nadmienić, że „Wykład prawa narodów“ o którym mówimy, nie jest prostym i zwyczajnym przekładem, jak to pospolicie bywa u naszych tłumaczy, lecz w znacznej części *utworem oryginalnym*. (A czemuż to nie wykazano gdzie?) Autorowie bowiem nasi, Rzeziński i Rydzowski, wzięli wprawdzie za podstawę swojej pracy treść i osnowę słynnej książki Hefftera, ale tak pod względem formy, jak i *co do rzeczy* (?) włożyli w nią tyle własnego, że ich dzieło przybiera tęp samemu samodzielny charakter i zyskuje *wyższe* nad suchy przekład *znaczenie*. Nie idą oni bowiem niewolniczo za porządkiem pierwopisu, lecz obrali sobie inny system, prostszy, trafniejszy i *przeprowadzony z wielką naukową ścisłością*."

Wszystko to jednak nic, w porównaniu z niepomiarowaną a tak niezasłużoną pochwałą, jaką artykuł *Czasopisma* daje za... poprawny i doskonały polski język przekładu! Tutaj trudno już własnym oczom wierzyć, a przecież czytamy:

"Co do formy, znajdzie czytelnik w zaleconej książce hojność i bogactwo języka, a *uderzy go niezawodnie tok mowy czysto staropolski*. Miłego zatem dopełniamy obowiązku, podnosząc z naciskiem, że *cały układ rzeczy*, a następnie *rodzimość i swojskość wyrażenia* (jak np. zapewne *influncyjna nadannosc, widok podstawowy* i t. d.) nie nastreczą nigdzie czytelnikowi tego przykrego uczucia, że czyta dzieło z obcego przełożone języka, gdyż wszystko tchnie duchem szczeropolskim i nacechowane jest *piętnem prawdziwie wzorowej polszczyzny prawniczej*."

Do tych słów, do tych pochwał już żadnych dać nie możemy komentarzów. Owę *prawdziwie wzorową polszczyznę prawniczą* przytoczyliśmy powyżej wyjątki. Kto umie czytać, niech zestawili jedno z drugim i powie nam co o tym wszystkim sądzić?

Dopełniliśmy przykrego obowiązku. Wstrzymaliśmy się z nim przeszło dwa lata, sądząc że może kto inny to uczyni. Interes nauki nie pozwolił dłużej milczeć. Jeszcze raz powtarzamy ubolewanie, że cały ten wypadek pod powagą firmy takiej instytucji się wydarzył, którąśmy przywykli zawsze czcić i poważać. Składamy też odpowiedzialność za niego nie na instytucyję, ale na indywidualia którym zaufała, a które źle użyły jej powagi. Profesor Rzeziński nie żyje, trudno się z umarłymi rozprawiać; wreszcie nie wiemy ile w tym przekładzie jest jego pracy, i nie wiemy czy byłby chciał ją mieć wydrukowaną, skoro za życia jej nie ogłosił. Nie znamy nazwisk innych osób, które wzięły udział w tym wydawnictwie. Na tytule jednakowoż i w panegiryku *Czasopisma* wyczytujemy nazwisko dra Rydzowskiego, adwokata. Na niego tedy musi spadać odpowiedzialność przed nauką, przed autorem niemieckim i przed szanowną krakowską alma mater, której powaga w wysokim stopniu skompromitowana została.

Oby przynajmniej ten krakowski druk nie powstrzymał czyjś dobrej chęci, podjęcia lepszego i wiernego tłumaczenia wybornego ze wszech miar i tak potrzebnego przy uniwersyteckich wykładach dzieła Hefftera.

Dr. A. Bialecki.

### Wuk Stefanowicz Karadziejcz.

Wspomnienie pośmiertne.

Napisal s. p. Roman Zmorzki.

(Dokończenie).

Przebywszy parę lat w Wiedniu, w 1833 roku przedsięwziął nową przez Niemcy do Rosji podróż. Szczęśliwym trafem w stolicy tego ostatniego pa-

stwa zjechał się z światłym i utalentowanym władką czarnogórskim, Piotrem Petrowiczem, który oceniając jego dążenia i zdolności, zaprosił go do siebie do Cetyńja, dla wspólnej nad oświatą ludu czarnogórskiego pracy. Wierny danemu przyrzeczeniu, Wuk przybył w końcu 1834 roku do stolicy Czarnogórze, gdzie całą zimę przepędził. Ale niestety! pomimo przyjaźni władki, nieszczęśliwa kacerska jota i tu tak żywe przeciw niemu wywołała oburzenie, że widząc ze smutkiem bezskuteczność wszelkich dalszych usiłowań, na wiosnę 1835 r. opuścił Czarnogórze, czasowo Dubrownik za miejsce pobytu obierając. W czasie który w tym najcudowniejszym wszystkich słowiańskich krajów zakątku przepędził, wydał w drukarni przez władkę w Cetyńju urzędzonej ważne niezmiernie dla studyów etnograficznych dzieło, zbiór serbskich przysłów i przypowieści, pod tytułem „*Srpske narodne poslovice*“, których drugie wydanie, znacznie powiększone, później (1849 r.) w Wiedniu ogłosił. W Dubrowniku wypracował także zajmującą w języku niemieckim, bezimiennie w 1837 roku ogłoszoną książkę: „*Montenegro und die Montenegriner*“, najlepsze dotychczas, pomimo wszystkich opisów późniejszych, do poznania kraju i ludu tego źródło.

Powróciwszy do Wiednia zbogacony mnóstwem nowych pieśni, w Czarnogórze i przyległych mu krajach zebranych, zakrzętał się niebawem około trzeciego ich wydania. Jakoż pierwszy tom nowej tej edycji, bogaty zbiór pieśni żeńskich obejmujący, wyszedł na świat w Wiedniu w 1841 roku, nie już pod dawniejszym Piesmaricy, ale pod odmiennym tytułem: „*Narodne srpske pjesnie*“. Wydanie przeciw trzech następnych tomów, obejmujących pieśni męskie od najdawniejszych aż do najnowszych czasów, wlokło się kilkoletniemi przerwami całe lat dwadzieścia, tak że tom czwarty dopiero w 1862 r. na świat się ukazał. Powodem tego powolnego wydawnictwa była potrzeba pokrycia drogą prenumeraty znacznych nakładów, co przy niewielkiem serbskiego czytelnictwa kole, nie tak łatwo przychodziło.

W 1848 rok, który tak gwałtownie, choć nakrótka, zatrzęsł wszystkimi narodami Austrii, Karadziejcz przybył wprawdzie na powszechny zjazd słowiański w Pradze, ale ani w ciągu tegoż zjazdu, ani podczas następnej wojny węgierskiej, w której rodacy jego tak żywy brali udział, zgoła w politykę mieszać się nie chciał. Przyszedł on do przekonania, że wyłącznym zadaniem jego być powinno piórem tylko narodowi służyć, i z drogi tej już ani na krok sprowadzić się nie dał. Kiedy mu z tego względu czyniono zarzuty, odpowiedział jedną rzeczą: „Mój bracie! Serbowie mają wojaków dostatkim, a politykarzy co niech Bóg bronie. Ale powiedz mi, jak ja przestanę, kto co na serwo po serbsku pisać będzie?“

Jakoż jeszcze wśród huku dzieł, w 1849 roku, wydał małą ale niezmiernie interesującą książeczkę: „*Kowcežić za istorju, jezik i obiczaje Srba swa tri zakona*“ (Skarbczyk historii, języka i obyczajów Serbów wszystkich trzech wyznań). Pierwszy ten zeszyt zamierzonej, a z wielką szkodą literatury dalej niepoprowadzonej publikacji, obejmuje kilka wielce zajmujących opisów, zarysów obyczajowych i t. p. Dalmacyi dotyczących artykułów.

W roku 1852 ogłosił Wuk największą swoją, po zbiorze pieśni, pracę — drugie wydanie słownika, który teraz w ogromnym, z górą 47,000 wyrazów obejmującym tomie, ukazał się na świat pod tytułem: „*Srpski rječnik, istumaczen niemackijem i latinskijem rječim*“ (Słownik serbski, objaśniony niemieckimi i łacińskimi słowami). Wy tłumaczenie przeciw na niemieckie i łacińskie wyrazów serbskich nie jest dzieła tego jedyną zasługą. W objaśnieniu niejednego wyrazu napotykaemy całą kolumnę opowiadania, nieraz bardzo zajmujące wiadomości obyczajowe, podaniowe lub historyczne w sobie zawierającego, tak, że niejedna karta słownika, z równem zajęciem jak odcinek jakiegoż czasopisu literackiego daje się czytać. Do tego dzieła Wuka wiąże się zresztą szczególnie w dziejach oświaty wspomnienie. Ministerjum serbskie wzbrowiło było przez lat kilka wprowadzania go do kraju, pod pozorem że mieści w sobie wstyd obrażające wyrazy. Jak gdyby słownik był poczytną książeczką, młode panienki gorszyć zdolną! Właściwie przeciw zakaz ten był ostatnim wysiłkiem

starowerszczyzny literackiej, która wbrew powszechnemu uznaniu, aż do końca życia Wuka nie mogła się zrzec chętki stawiania mu wszelkich możliwych przeszkód na jego drodze.

W roku 1853, wydał pod tytułem „*Srpske narodne pripovietke*“ zbiorów baśni, pięćdziesiąt takich, dosyć podrzędnej wartości, obejmujący. Zbiorów ten wkrótce potem wyszedł w niemieckim przekładzie, przez własną córkę Wuka dokonany. Drugie tyle zaś baśni, jak się z przedmowy dowiadujemy, pozostało gotowych w tece zbieracza.

Ostatnią przez Wuka napisaną i wydaną pracą była ciekawa wiadomość o radzie narodowej pod Czarnym-Jerzym (*Pravilelsłowużeci sowitz srpski za wremena Karadiordiewa*), w 1860 roku w Wiedniu wyciągnięta. W przedmowie do tej publikacji obiecywał wydać jeszcze następujące dzieła: Przyczynek do historii serbskiej naszych czasów, Żywy najświetniejszych wodzów naszych czasów, Obyczaje czyli żywot naszego narodu i Słownik niemiecko-serbski.

Śmierć, która w 77 roku życia przecięła jego zasłużony i pracowity żywot, nie dozwoliła mu się wywiązać z tej danej narodowi obietnicy. Nie godzi się przecież wątpić, że pozostałe po nim materyały w dobre się dostaną ręce i że praca zacnego starca nie zostanie zmarnowaną dla literatury.

W powyższym przebiegu życia i prac Wuka wspomniane zostały tylko znaczniejsze, osobno ogłoszone jego dzieła. Nie do nich przeciw ograniczyła się żelazna pracowitość jego. W różnych czasopisach i pismach zbiorowych napotyka się znaczna ilość jego artykułów, już to polemicznych, już to językoznawczym, to znowu etnograficznej lub historycznej treści, z których wiele, zwłaszcza do dwu ostatnich rodzajów należących, zasługuje na to, ażeby zebranymi i razem wydanymi zostały. Wreszcie, w polowie przynajmniej, za dzieło Wuka poczytywać się godzi niemiecką historią serbskiego powstania („*Geschichte der serbischen Revolution*“) przez Leopolda Ranke podwakoć w Berlinie wydaną. Niemiecki bowiem jej autor szedł prawie wyłącznie za opowiadaniem i notatami Wuka, tak że oprócz spisania rzeczy po niemiecku i nielicznych tu i owdzie rzuconych uwag, niewiele się nad nią wysilił.

O stanowisku i zasługach Wuka w literaturze serbskiej niepodobna mówić bez obawy wpadnięcia w przesadę. Istotnie, nigdy może pojedynczy człowiek nie wywarł tak ogromnego i wszechstronnego wpływu, nie oddał usług tak znakomitych. Samo zaprowadzenie jako piśmienny, ustnie tylko używanego języka, ustalenie i uproszczenie jego pisowni i obdarowanie narodu tak ważnym i pracowitem jak słownik dziełem, dostatecznymi byłyby do zapewnienia jednemu człowiekowi niezgasłej sławy i wdzięczności rodaków. Cóż dopiero powiedzieć o niezmierniej usłudze jaką swemi zbiorami pieśni oddał całemu plemieniu serbskiemu, rozbudzając w niem zatarte narodowości i jednoplemienności uczucia, podnosząc pierś jego dumą sławnych wspomnień i dając je poznać całemu wykształconemu światu, który dotąd o Serbach albo zgoła nic nie wiedział, albo się o nich bardzo mało, jako o garść barbarzyńców, troszczył. Dzięki pracom Wuka, uprzedzenie to i obojętność zamieniły się nagle w żywe zajęcie. W niedawnych barbarzyńcach poczęto widzieć lud zdrowia, młodości i szlachetnych uczuć pełen, ziarną pięknej przyszłości w piersiach swych noszący, i spoglądać na jego usiłowania z zyczliwością, która nawet na ustalenie niepodległości księstwa nie bez dobroczynnego pozostała wpływu.

Charakterystyka umysłowa Wuka nietrudną jest w niewielu do skrócenia słowach. Nie był to bynajmniej człowiek geniuszu, ani nawet wyższego talentu. We wszystkich jego dziełach nadaremnie byśmy szukali najmniejszego śladu twórczości. Przymiotami jego były przedewszystkiem: zdrowy, trzeźwy chłopski rozum i ten cudowny instynkt, tak często prostym, żadnymi subtelnościami nieobałamuconym umysłem właściwy, który im nieraz wśród krętych ścieżek właściwą drogę, wśród blichtrów i ułudnych pozorów, prawdę bez trudu odgadnąc daje. Do nich należała się żadnymi trudnościami zrazić się nie dająca wytrwałość, niezrównana pracowitość, a wreszcie ów może najszacowniejszy w ludziach przymiot, owa elastyczna sprężystość ducha, na chwilę bezczynnie gnuśnić mu nie pozwalająca, lecz zmuszająca go niejako do bezustannego działania, do two-

zenia coraz nowych planów i takowych wykonywania. Nad wszystkimi zaś własnościami temi, niby aureola opromieniająca je i uszlachetniająca, królowała gorąca ludu swego i wszystkiego co swojskie miłość. Te to przymioty sprawiły, że nie odznaczając się żadnymi niezwykłymi zdolnościami, nie posiadając jak tylko bardzo niedokładne wykształcenie, Wuk zajmował przecież poczesne między najznakomitszymi epoki swęj mężami miejsce, i że dzisiaj naród cały z żalem i chlubą na grób jego spogląda.

Powierzchność Wuka była szlachetna i ujmująca. Pomimo szczudła, w którym uwięziona wiecznie była jedna noga (1), ruchy swobodne, pewne i spokojne. Wzięcie, wspólne Wukowi z wieloma znakomitszymi mężami serbskimi starszego pokolenia, obok niewypowiedzianej prostoty, łączyło wolną od wszelkiej afektacyj powagę, mimowolny szacunek nakazującą, — podobnie jak to widzieć możemy nieraz u naszych sędziwych kmieci, szanowanych i samych się szanujących. Wzrostu był miernego, ale zato krępy i barczysty, tak że napróżnoby było doglądać się w nim śladów chorobliwości, która młodzieńczy wiek jego trapiła. Szeroka, ciemnym tonem południa powleczone, a podług obyczaju narodowego długim, siwym wąsem ozdobiona twarz, tęchła szczerością, spokojem i niczem niezakłóconą pogodą ducha, w czem też istotnie była wierne wnętrza jego odbiciem. A jednak po doświadczeniach, których wiele przebył w ciągu długiego życia swego, niemałej mocy duszy było to dowodem, że wszystkie te przymioty jeszcze pod schyłek wieku zachował. Wziętość i szacunek, w obszerniejszym pozyskane świecie, nie mogły mu obojętną uczynić niechęci zatwardziały w starych błędach ziomek, tém bardziej że niechęć ta po razy kilka i osobistym jego widokom, i chęciom służenia narodowi na przeszkodzie stanęła. W życiu rodzinnem jedna także boleść ojcowskie serce jego dotknęła. Z trzynastoorga dzieci które mu na świat przyszły, na starość jeden tylko syn (oficer w wojsku serbskim) i córka (obecnie wdowa po profesorze Wukomanowiczu w Belgradzie) przy życiu zostały. Sama nakoniec materyalna życia jego strona nie była wolna od dolegliwości. Ojciec rodziny, żadnego majątku nieposiadający, autor w języku bezporównania szczuplejsze niż nasz liczącym czytelnictwa koło, pomimo udzielanych mu szlachetnie to z téj, to z owéj strony pomocy, nie mógł nieraz pozostać zupełnie wolnym od dotkliwego o byt powszedni kłopotu.

Mimo wszakże tych wszystkich doznanych trudności i przykrości, sześćdziesięcioletni z górą, jakim go znałem, Karadzić, mógł zawstydzić mnóstwo młodych nietylko jasnym, ufnym, wolnym od wszelkiej goryczy na świat poglądem, ale i prawdziwie młodzieńczą świeżością ducha. Rozmowa jego, wielce pouczająca kiedy się toczyła około przedmiotów zajęciem jego będących, na jakikolwiek zresztą inny zwróciła się przedmiot, nigdy nie była martwą ani pospolitą. Cechą jęj, obok wysokiej oryginalności, był pewien dobroduszny humor, dzwonne często pamiętniki naszego pana Chryzostoma Paska przypominający. Mnóstwo nieznananych anegdot, niespodziewanych zwrotów i nieporównanych malowniczością wyrażań, sypało się jak perły z ust łagodnie uśmiechniętego starca, tak że po parogdzinnej poufałej z nim rozmowie, wychodziłeś orzeźwiony i rozweselony, jak po ucacie najlepszym zaprawnej winem.

Takim był człowiek, którego przed trzema laty pochowała i opłakała Serbia. Życzyć należy narodowi serbskiemu, ażeby wprędce znalazł godnego Wuka zastępcę, któryby czy to idąc w obranym przez niego, czyli w odmiennym kierunku, zajął równie wpływowe, równie ruch i życie wzbudzające stanowisko — bez czego w obecnym młodocianego piśmiennictwa serbskiego stanie, obawiać się można, że wpadnie napowrót w martwość i zapomnienie, z którego je pełne miłości trudy Karadicza wydobyły.

(1) Na nieszczęście nie pamiętam już dzisiaj gdzie i kiedy Wuk kalectwem tém dotknięty został, ani żadne ze źródeł które nam pod ręką tego nie objaśnia.

## KORRESPONDENCA TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Z okolic Merecza.

Coraz to bardziej znikające dawne zwyczaje i obyczaje ludowe, zachęciły mnie do niniejszej korespondencyi, której celem jest chęć wydarzenia niepamięci tych tak jaskrawych a ponętnych barw ludu, które, jak krople rosy, za lada powiewem silniejszego wiatru, giną bezpowrotnie. Za lat kilkadziesiąt może ani śladu ich odszukać nie będzie można.

Właśnie bawiąc w roku zeszłym u rodziców w czasie świąt Bożego Narodzenia, korzystałem z kilku chwil wolnego czasu, aby pozbiierać niektóre wydatniejsze cechy zwyczajów ludu litewskiego. Owocem tego zajęcia się jest kilkadziesiąt pieśni rozmaitej treści i szczegółowe zbadanie bardzo licznych zwyczajów i ceremonij, używanych w czasie obchodu weselnego, jak również i należących do niego pieśni i tańców. Z temi ostatnimi postanowiłem obeznac czytelników waszego pisma.

Tańce litewskie są bardzo charakterystyczne, odychają wonią rodzimój poezji i mieszczą w sobie wiele pojęć mitologicznych, a pomimo to dotychczas nie zwróciły na siebie oczu uczonych badaczy w takim stopniu, jak na to zasługują. Dziś trudno wierznie je opisać, bo czas, a raczej wszechwładna moda, niektóre stanowczo już z użycia wyrugowała. Lecz przed trzydziestą jeszcze laty kwitły one w całej pełni życia i dopiero później, poczęły niektóre ustępować miejsca z początku walcom, a dalej polkom, będącym dziś w powszechnem używaniu. Wybaczą mi zatem czytelnicy niedokładny opis kilku tańców, albowiem wielu wcale widzieć nie mogłem, a wiadomo że z opowiadania, i to jeszcze wieśniaków, trudno powziąć dokładne o rzeczy wyobrażenie. Wreszcie nadmieniam, że brak czasu i inne niezależne odemnie okoliczności zmusiły mnie ograniczyć się w mych poszukiwaniach tylko na okolicach Rottnicy, Merecza, Serej i Olity, a tém samém nie dozwoliły całkowicie wyczerpać podjętego zadania. Ostatnią uwagę robię dlatego, aby ostrzedz czytelników, że inne jeszcze tańce w innych miejscowościach tutejszych istnieć mogą.

Pierwszym, a zarazem podstawowym tańcem litewskim jest *sukcius* (kręciołek), pełen życia i wery, używany wszędzie, gdzie tylko mowa litewska istnieje.

Oto zaledwie odezwała się cicha, nawpół tęskna nawpół żalona nuta, jaką tylko grajek litewski wydobyc potrafi, wnet stanęła wśród koła zebrałego na zabawę ludu hoża dziewoja, a za nią wysunął się z tłumu dziarski chłopak. Dziewczyna, stroniąc od niego, lekko płasza w około. Chłopiec także z początku powoli i nieśmiało zdąża za nią i stara się ją dopędzić, ale nie mogąc tego dokazać, zwraca się w stronę przeciwną. Dziewczyna, unikając go, to samo czyni. W tym czasie muzyka coraz to więcej nabiera siły i tony jęj stają się coraz to raźniejszymi i żywszymi. W tancerzu również stopniowo zapał wzrasta; i on, klaszcząc w dłonie coraz natarczywiej, pędzi jakby podniecany oporem dziewczyny, która ze swéj strony znowu coraz żyżej unika. Nareszcie zagrziała muzyka w całej sile i wydała potoki tonów zarazem tęsknych, hucznych i namiętnych, a para tańcząca, poskoczywszy ku sobie, znalazła się w środku koła, po którym dotąd się goniła. Chłopiec ujął prawą ręką kształtną kibić dziewoi, a lewą prawe jęj ramię. Dziewczyna podobnie przycisnęła go do siebie lewą swą ręką, prawą zaś zwiśla na lewém jego ramieniu. I tak we dwoje, zapomniawszy o reszcie towarzystwa, wirują na miejscu w najwyższym zapale, to w jedną to w drugą stronę, zmieniając tylko kiedy niekiedy wzajemne sploty.

Wtém w grzmących tonach muzyki odezwała się nuta fałszywa, jak jęk rozpacz. Tancerz nagle osadził na miejscu i wnet gwałtownie odskoczył na bok; dziewczyna, chwilę popatrzywszy za nim, to samo uczyniła w stronę przeciwną.

Wkrótce jednak wróciła harmonia w tonach muzyki. Chłopak także zwrócił się do swéj tancerki, powiódł po niej tęsknym wzrokiem i zaczął płaszać za nią w około, lecz dziewczyna znowu go unika, jakby nie dowierzała jego stałości.

Muzyka, stopniowo rosnąc w siłę i żywość, drugi raz zagrziała huczno a rażno; i znów tancerze rzu-

cili się ku sobie, i znowu wirują oboje we wzajemnych objęciach. Fałszywy ton muzyki powtóre dał się słyszeć i tańcząca para jeszcze raz rozeszła się; a chociaż znów spotkała się w środku koła, jednakże już nie rzuciła się sobie w objęcia, ale ująwszy się tylko za dłonie, spokojnie, coraz to powolniej, wiruje, zanim ustąpi miejsca innéj parze.

Takim to jest litewski *sukcius*. I proszę mi znaleźć taniec poetyczniejszy od niego. Ale żeby taniec ten sprawiedliwie ocenić, trzeba go widzieć na rodzinnej jego ziemi, wśród gaju dębowego lub kwiecistej łąki; doład bowiem jeszcze Litwini mają zwyczaj tańczyć, o ile stan nieba pozwala, na otwartém powietrzu, wybierając pospolicie do tego polankę w lesie, łączkę pod gajem, lub w ostatnim razie zieloną murawę podwórza.

Drugim z kolei tańcem jaki nam wymienić wypada, jest *tancus* (taniec), do dziś dnia jeszcze używany. Podobny on do poloneza i gdyby nie był eściami składową nawet takich tańców, których natura czysto litewska nie podlega wątpliwości, możnaby mniemać że jest polskiego pochodzenia.

O ile *sukcius* jest żywy i namiętny, o tyle *tancus* powolny i poważny. Liczne pary, pod przewodnictwem najznakomitszej, z całą możebną powagą krążą w około, najprzód trzy razy w lewą stronę, potem tyleż w prawą i nakoniec jeszcze tyleż w lewą, co razem czyni dziewięć kręgów zrobionych w około.

Przy téj sposobności muszę nadmienić, że liczba 3 i potęgi z niej są liczbami świętymi u Litwinów.

Po wykonaniu wyżéj opisanych obrotów, pary stawają w miejscu i tańczą po kolei kręciołka, zaczawszy od pierwszej, to jest téj, która rej wodzi (*tarcu wiada*).

Trzecim z rzędu jest taniec *angleza* zwany, od lat kilkunastu wyszły z użycia. Tańczyły go tylko trzy osoby, to jest dwie kobiety i mężczyzna, lub przeciwnie. Tancerze stawali tak, że formowali trójkąt. Mężczyzna zaczynał, robiąc trzy kroki naprzód i w tył do kobiety znajdującej się po prawej ręce, z którą za drugim razem wykonywał obrót jeden jak w mazurze i zaraz z drugą także sam obrót. Potém wracał na swoje miejsce i to samo jeszcze raz powtarzał, zaczawszy teraz od kobiety znajdującej się po lewej stronie.

Tym sposobem tańczyła każda osoba oddzielnie, idąc w kierunku słońca (pasauluj). Powtarzało się to wszystko do trzech razy i kończyło sukciusem, tańczonym w tym wypadku przez trzy osoby.

Muszę jeszcze ostrzedz czytelnika, aby idąc za podobieństwem brzmienia, nie zechciał wywodzić pochodzenia tego tańca od synów Albionu, gdyż wiele znajduje się wyrazów litewskich podobnego brzmienia, np. *anglis* węgiel.

Czwartym tańcem był *kiapurele* (czapeczka), od tego tak nazwany, że go tańczono w czapkach.

Tańczyły go tylko dwie pary, które najprzód robiły trzy kręgi w około, tak samo jak w *tancus*; dalej stanawszy naprzeciw siebie tańczyły wtył i naprzód trzy razy; poczem przy odpowiednich tonach muzyki wszystkie cztery osoby kłaniając się, dotykały razem czapkami ziemi w środku koła. Następnie, trzymając czapki w ręku, obracały się wioro w lewo i znów dotykały ziemi, a uczyniwszy trzy takie ukłony, nakładały czapki na głowy i wykonywały jednocześnie różne skoki i płasy, każda z osobna. Dalszych części tego tańca szczegółowo opisać nie potrafię, albowiem z opowiadania niewiele zrozumieć mogłem. To tylko nadmieniam, że potrójne ukłony czapkami powtarzały się trzy razy.

Piątym z kolei tańcem jest *zolinięlis* (kwiatek), także od kilkunastu lat nieużywany. Tańczyły go trzy pary, zaczynając również od trzech polonezowych obrotów w około. Następnie, stanawszy jedna za drugą, posuwały się to naprzód, to w tył trzy razy. Za czwartym ruchem zrobionym naprzód, każda para, w miarę jak dochodziła do ściany w mieszkaniu, lub do oznaczonego kresu w gaju, rozłączała się i obie osoby jedna jedną, druga drugą stroną w płasach zachodziły z tyłu tańczących, tam podawały sobie ręce i znowu tańczyły naprzód, zanim nie dotarły z kolei do ściany lub kresu.

Gdy wszystkie pary uskuteczniły po dziewięć takich przejść, zaczynały znowu *tancus*, a po ukończeniu trzech obrotów, stawały w jednym szeregu, jak w poprzedniej figurze. Wtedy zaczynało się kolejne podnoszenie rąk każdej pary i przechodzenie pod nimi innych par, tak aby każda z nich znajdo-

wała się na wszystkich miejscach, nim wróciła na swoje. Wyżej opisane przejścia powtarzały się dziewięć razy, a przy szybkim wykonywaniu onych w jedną i w drugą stronę, cała grupa tańczących podobną była do kwiatka przez wiatr kołysanego, i dlatego też zapewne taniec ten otrzymał nazwę *żolinielis* (kwiatek).

Szóstym tańcem jest *skuscinka* (chusteczka). I ten taniec od kilkunastu lat został zaniechany. Podobnym on jest zupełnie do drugiej części tańca *żolinielis*, z tą tylko różnicą, że z powodu iż tańczyły go cztery pary, przejścia jego były nieco więcej skomplikowane i że pary nie trzymały się wprost za ręce, ale za końce chustki, od czego też poszło i nazwisko tego tańca.

Siódmy z rzędu jest taniec *pasiutielis* (taniec szalony), który najzupełniej usprawiedliwia swoją nazwę i używany bywa tylko niekiedy w czasie obchodów weselnych.

Gdy skutkiem użycia rozpalających napojów, zebranie weselne dobrze rozochoci się, wtenczas pospolicie najdzielniejszy tancerz, z czapką na głowie, jedną ręką trzymając tancerkę, drugą podparłszy się w bok, staje przed grajkiem i daje hasło do tego tańca głośnym okrzykiem „*pasiutielis!*“ Wtedy grajek zaczyna ostro, ochoczo, a pierwsza para wybiega na dwór, gdyż w mieszkaniu zaciąsno dla tego tańca, od którego nikt wymówić się nie może: ani Żyd handlarz, ani dziecko, ani nawet żebrak, a to pod karą natychmiastowej chłosty. Tylko wiek sędziwy ma tu należne poszanowanie.

Taniec *pasiutielis* zasadza się na tém, aby we wszystkich czynnościach i poruszeniach wiernie naśladować pierwszą parę, również pod surową karą. Pierwsza para wyprawia rozmaite nadzwyczajne poruszenia i gesta: uderza nogami o kamienie lub patyki, wali pięściami w ściany, obrywa liście z drzew, przesadza płoty, rowy, kałuże, zdejmuje obuwie i z niem różne poruszenia i figle wyrabia; a wszystkie bez wyjątku pary czynią to samo, z najskrupulatniejszą drobiazgowością. Przytém naturalnie zdarzają się przeróżne a zabawne sceny; ztąd hałas, śmiech pusty i wesołość ogólna. Po półgodzinnem

takiem prawdziwie szalonym wloczeniu się po polach i górach, wraca zaledwie kilka par okurzonych, zbryzganych błotem i zmęczonych do najwyższego stopnia; reszta zaś słabszych, rozpierchniona po różnych miejscach, zbiera się później pojedynczo lub po kilka, z różnemi śladami tej wyprawy.

W roku 1829 wyjechał do Kassel, gdzie wówczas Spohr już słynął jako znakomity skrzypek. Ale Spohr znalazł go zimnym i dziwakiem, co chwilowo odstąpiło go zupełnie od gry skrzypcowej. Ole Bull udał się do Getingi i tam słuchał prawa. W r. 1831 pojechał do Paryża, gdzie długo w największej żył nędzy, bez żadnego sposobu utrzymania, a w końcu nawet bez skrzypców, bo te zostały mu skradzione. Wówczas przez trzy doby walczył z myślą samobójstwa, i kto wie czyby jej nie był wykonał, gdyby nie pocziwa staruszka, wdowa po hrabi Faye, która przypadkiem dowiedziawszy się o nim, wzięła go pod swą opiekę i w końcu ożeniła z własną swoją wnuczką.

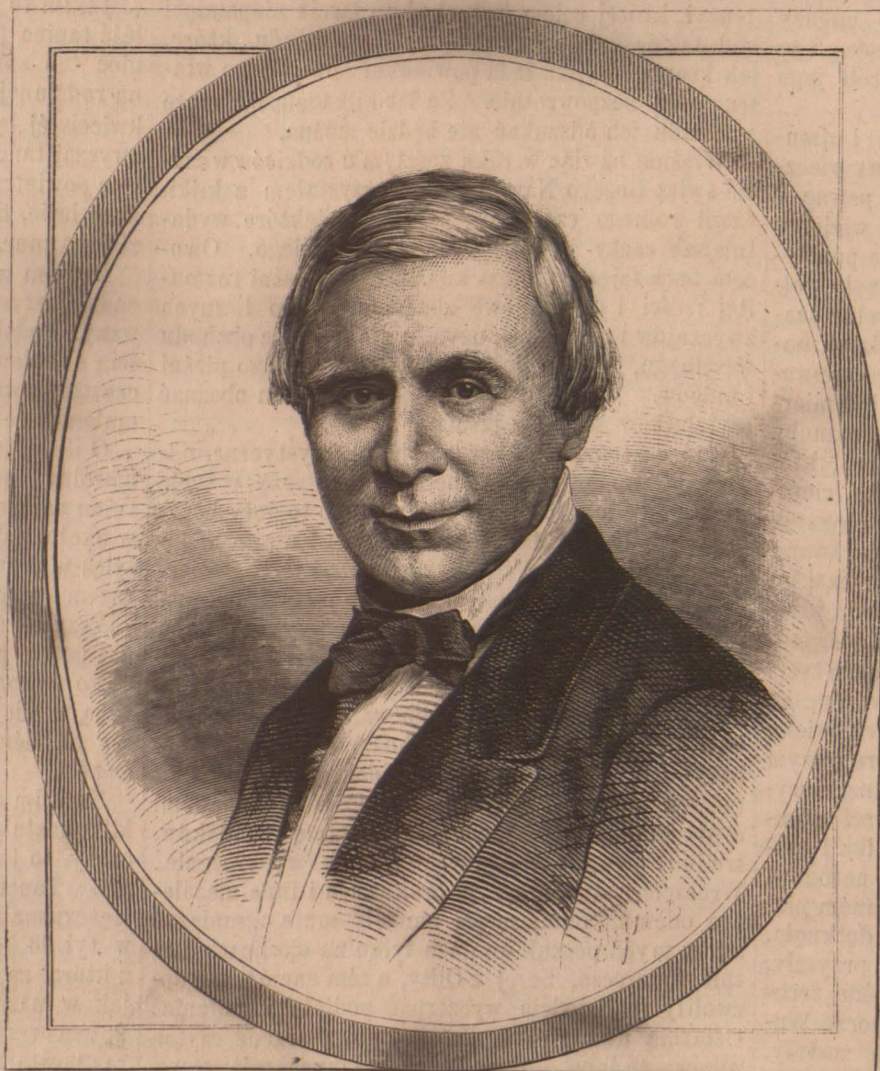
Bawiąc w Paryżu, znalazł przez pewnego faktora koncertowego, nazwiskiem Lecoux, sposobność wystąpienia publicznie w koncercie, który mu przyniósł 1500 franków; z tym funduszem udał się do Szwajcaryi i do Włoch. Gra jego, podobna do gry Paganiniego, zrobiła wielkie wrażenie na Włochach, tak dalece, iż razu jednego gdy grał w Neapolu w teatrze S. Carlo, pani Malibran w zachwycie rzuciła mu się na szyję i w obec zgromadzonej publiczności go ucałowała. Z Włoch wrócił do Paryża i puścił się w podróż po Europie. Wtedy to, lat temu już 26, jadąc do Petersburga, i w Warszawie się zatrzymał dla dawania koncertów. Dzielił wówczas laury ze sławnym wiolonczelistą i przyjacielem swoim Kellermanem.

Po objechaniu całej niemal Europy, postanowił zwiedzić Amerykę. Popłynął tam w r. 1843 i bawił do r. 1845. Dawszy w Nowym świecie 200 przeszło koncertów z niezmiernym powodzeniem, raz jeszcze zawadził o Paryż, z kąd na lat parę pojechał do Algieru i Hiszpanii. Powróciwszy do Norwegii, założył r. 1848 w Bergen teatr narodowy i przez lat 9 własnym go kosztem utrzymywał.

Zamiłowanie atoli w artystycznych podróżach nie dało mu długo wysiedzieć na miejscu. W roku 1852 udał się powtórnie do Ameryki, gdzie zakupił wielki obszar ziemi, w zamiarze rozkolonizowania norweskich emigrantów; lecz zamiar ten nie powiódł się, z powodu nieszczęśliwego procesu, w którym Ole Bull całe prawie mienie swoje stracił.

Po powrocie do Norwegii długi czas nic o nim słyhać nie było, a nawet pogłoski chodziły o jego śmierci. Aż wreszcie ukazał się nanowo w Moskwie i dawszy tam kilka koncertów, przez Petersburg za-

(Ob. dodatek).



OLE BULL. (Podług fotografii Dutkiewicza i Klocha).

To są tańce prawdziwie litewskie, a jako utwór ludu, mieszczą one w sobie wiele poezyi i zasadniczych pojęć z duchowego życia stariej Litwy.

Na nieszczęście niektóre z tych tak odrębnych tańców, skutkiem różnych okoliczności, zostały od lat kilkunastu zaniechane, a miejsce ich zajęły, jak wyżej powiedziałem, walce i polki, które przeniesione na tę ziemię, wiele utraciły na lekkości i salonowej gracyi, ale zato zyskały na wérwie i życiu.

Tańczy jeszcze lud litewski od pewnego czasu *dżyguna*, rodzaj walca na dwa tempa, tylko z dalekim większym podskakiwaniem.

Zwykle przy każdym tańcu ludowym towarzyszy śpiew; nie pewnego wszakże w tej mierze wykryć nie mogłem. Jedni powiadali mi, że wcale nie śpiewano przy tańcach, drudzy zaś upewniali, że były pewne śpiewy, których przecież nikt podyktować mi nie potrafił. Jednak lud który śpiewał w radości i w smutku, który nawet ciężką swą pracę pieśnią osładzał, miałby nie śpiewać w czasie tańca? Nie sądzę tak; ale nie mając odpowiednich danych pod ręką, stanowczo w tym względzie wyrokować nie mogę.

H. G.

## OLE BULL.

(Notatka biograficzna).

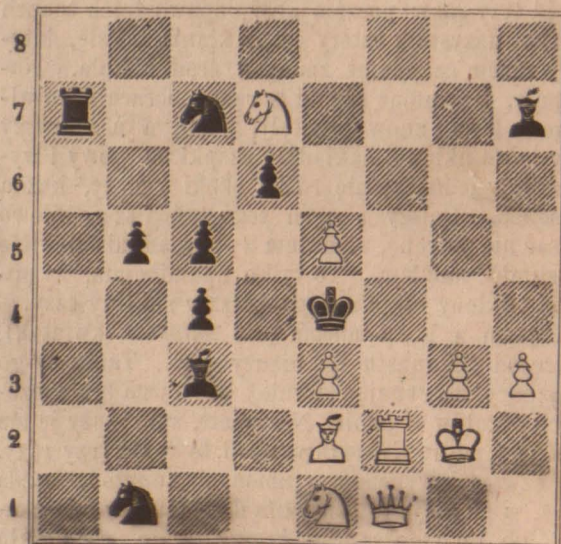
Bull (Ole-Bornemann) urodził się dnia 5 lutego 1810 r. w mieście Bergen w Norwegii. Od lat dzieciennych okazywał wielkie zamiłowanie do muzyki, wbrew woli ojca, który tysiącami przeszkody mu stawiał, aż nareszcie w r. 1828 wysłał go do Christyanii, by w tamtejszym uniwersytecie słuchał nauk teologicznych. Jako student uniwersytetu, wystąpił pierwszy raz publicznie na koncercie w celu dobroczynnym, z niesłychanym powodzeniem, tak dalece iż jeden z dyrektorów muzyki miejscowej, zachorowawszy, prosił go o zastąpienie w obowiązkach dyrektorskich, które też przez rok cały pełnił z wielkim zamiłowaniem.

## Szachy.

ZADANIE CCCLVI.

Białe zaczynają i dają mata za 4-ém posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 355.

Białe.

Czarne.

- |                  |                     |
|------------------|---------------------|
| 1) H5—D5+        | 1) E6—D5 biorą.     |
| 2) D7—D8 (koń)   | 2) D8—D6.           |
| 3) B5—C7+ i mat. | 2) Jakbądź inaczej. |
| 3) C3—C4+ i mat. |                     |

## Rebus.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 399.

Dzisiaj kobiety noszą tak przytroczone do głowy koki, jak tłomoki do karęty.

(Dodatek).

witał i do nas. Z Warszawy, o ile wiemy, ma zamiar powrócić do Norwegii.

Kompozycje Ole Bulla tchną jego duchem niepokojnym i najeżone są trudnościami, dla innych wykonawców prawie niedostępnymi. Według krytyków niemieckich i francuzkich, posiadają one mało wartości muzykalnej i jedynie obrachowane są na uwydatnienie jego olbrzymiego mechanizmu. Charakterem gry swojej Ole Bull najbardziej zbliżony jest do Paganiniego.

## Najnowsze odkrycia,

### wynalazki i spostrzeżenia naukowe.

Broń udoskonalona. — Nowa gwiazda. — Spostrzeżenia p. Hugginsa. — Indium, nowy metal. — Teorya P. Chancourtois kształtowania się dyamentów i sposoby sztuczne ich produkcji. — Studya Alfreda Fredol'a nad głowonogami i przykłady potwornego ogromu tych mięczaków. — Nowe odkrycia metalurgii dotyczące, p. p. Nickl's'a, Crookes'a i Wurtza.

Działa gwintowane francuzkie rozstrzygnęły losy Włoch w r. 1859; iglicówki pruskie w r. 1866 zmieniły kartę środkowej Europy. W obec tych faktów potężnej doniosłości przypominają się słowa niegdyś przez p. Marcina de Brettes, (1) profesora szkoły artylerji w Wersalu wyrzeczone: „Na wojnie, równie jak w przemyśle, powiada on, tryumf zawsze będzie po stronie ludu zaopatrzonego w doskonalsze przybory.“

Historją stopniowego postępu w konstrukcji broni palnej, poczynając od r. 1340, w którym po raz pierwszy jej siły pod Quesnoy sprobowano, najwymowniej określiłaby nam tegoroczna wystawa paryska, gdzie obok ciężkich kusz i niezgrabnych rusznicy 14go i 15go wieku, pojawia się lekka, dalekonośna i misterna broń nowożytna. Co do nas, zastanowimy się głównie nad najnowszymi przyrządami pociskowymi, a zwłaszcza nad karabinem Chassepot'a, który jest tylko udoskonaloną iglicówką, tudzież nad straszliwym rewolwerem, nowowynalezionym przez p. Jarre.

W pierwszych chwilach używania broni ognistej posługiwano się lontem, dla zapalenia prochu za pośrednictwem sprężyny; skałkówki wynalezione zostały w 1630 r., a wtedy muszkiet przyjął nazwę fuzyi, od wyrazu włoskiego *fucale*, oznaczającego kamień czyli krzemek.

Mysł zastosowania do broni systemu perkusyjnego i masy piorunującej, sięga roku 1809. Cesarz Napoleon 1szy zamierzał przekształcić w ten sposób karabiny nabijane się mające od tyłu; na jego zlecenie sławny puszkarz Pauly zajął się rozwiązaniem tego zadania i uzyskał patent na wynalazek broni, w której proch zapalała masa piorunująca, za uderzeniem w nią pręcika żelaznego, wyskakującego za naciskiem palca na cyngiel. Odtąd na podstawie systemu tego przerabiano broń w sposób najrozmaitszy; dopiero w r. 1818 puszkarz angielski Józef Eggs powziął myśl nową, mieszczącą masę piorunującą w pistonie miedzianym u podstawy naboju prochowego. Wynalazek ten zrobił krok olbrzymi, przez zastosowanie do niego luf żłobkowanych, celem nadania pociskom szybkiego ruchu obrotowego.

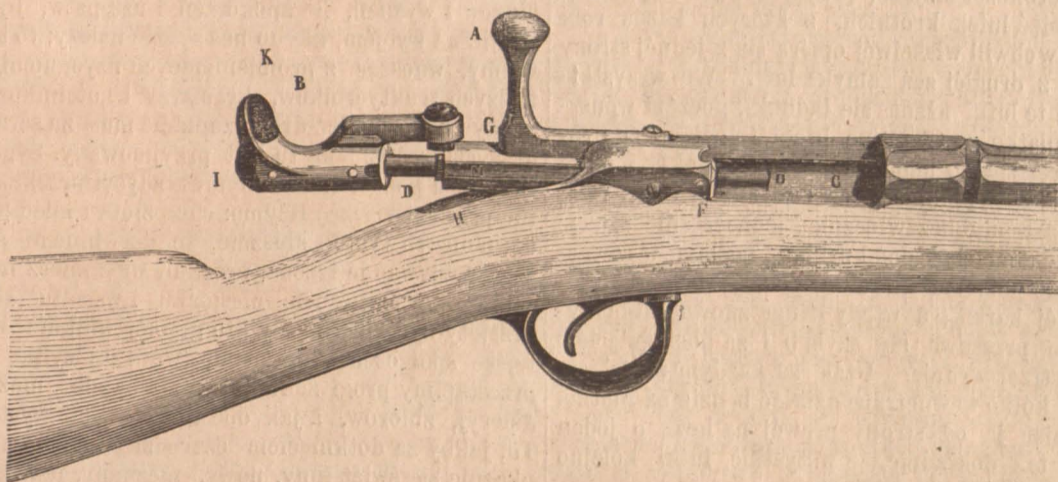
Nie ulega wątpliwości że broń nabijana zwykłym sposobem przedstawia wiele niedogodności; w razie zagubienia lub złamania się stempla, żołnierz jest rozbrojony, a ładunki mogą zapalać się w czasie nabijania, manipulacji zbyt długiej. Przeciwnie karabin nowego systemu nie potrzebuje stempla, nabija się łatwo nawet w noce, bez łoskotu i w każdej pozycji żołnierza; układ ciała nie tu nie przeszkadza; szybkość nakoniec nabijania broni i kolejnych strzałów jest w nim nieporównana. Broń taka nabijać się daje krzyżując bagnet, co jest bardzo ważnym gdy chodzi o odparcie ataku kawalerji; ładunek nie wypada z lufy, kiedy się spuszcza broń na dół otworem, jak np. w szwadronach jazdy; niemożliwym jest także kładzenie kilku ładunków, które zawsze z łatwością w razie potrzeby usuwać się dają; oczyszczenie lufy dokonywa się bez trudu; wreszcie użycie ładunków połączonych już z ma-

są piorunującą, skraca o wiele czas marnowany przy nabijaniu, a obok tego powiększa szybkość strzału.

Te przymioty broni od tyłu nabijanej czynią ją straszną, gdyż za jej pomocą można w mgnieniu oka prawie rozwinąć energiczną atak na danym punkcie i zgnieść nieprzyjaciela, zanim ten zdola sformować szeregi dziesiątkowane morderczym ogniem. Obawa zbyt spieszego wyczerpania amunicji tu jest zbyt zbyteczną; jeżeli każdy żołnierz ma 100-150 ładunków i strzela przynajmniej pięć razy na minutę, widoczna że zrećnie zarządzając ogniem, można go utrzymywać nieustannie prawie przez godzinę, przypuszczając nawet że żołnierz spotrzebuje cały zapas ładunków; wiadomo zaś, że bardzo rzadko przytrafia się, aby w odległości strzału dwie armie pozostawały przez godzinę w obec siebie i nie brały się do bagnetu. Jeżeli nadto weźmiemy pod uwagę, że kolumna w której co dziewięć człowiek pada, zwykle chwiać się poczyna, a kiedy pada 3ci lub 4ty, rozsypanka jest nieuniknioną, tedy niezawodnie gdy trzecia część z szeregu ubywa w ciągu

stem, przypisać to trzeba niepewności, jaka długi czas panowała co do rzeczywistej wartości dość zresztą kosztownych iglicówek. Wojna dopiero między Austryą i Prusami w r. z. zakończona, usunęła wszelkie wątpliwości; zaczęto fabrykować broń podobną w Hanowerze, w Hesi elektoralnej i w księstwie brunświckiem, równie jak masę piorunującą, która się składa z 3-ch równoważników chloranu potażu i 2-ch równoważników siarczynu antymonu. (\*) Przy wylocie kuli w chwili strzału nie widać wcale ognia nawet w miejscu najciemniejszym, lecz tylko białawy obłoczek. Mało hałasu, a wiele siły zaleca broń pruską.

Części składające broń Chassepot'a są prostsze i mocniej zbudowane od części iglicówek stanowiących; tu, równie jak w karabinie Dreyse, igła puszczone przez sprężynę przebija proch, uderza w masę piorunującą, która zapala proch od przodu ku tyłowi i wyrzuca pocisk; mechanizm jednak cokolwiek jest odmienny, jak to na załączonym rysunku widzimy. Spostrzegamy tam kurek BK odpowiadnych wymiarów, z wydatnie nakarbowaną



kilku minut, strach paniczny o władnie pozostałym żołnierzem, zwłaszcza jeżeli jest niedoświadczonym. Korzyści więc broni nowego systemu są niezmiernie.

Broń przez p. Pauly wynaleziona, dała, jak powiedzieliśmy wyżej, popęd do ciągłych na tej drodze wynalazków, mniej lub więcej szczęśliwych. Po próbach Juliana Leroy w r. 1813, nastąpiły pomysły p. p. Delvigne, Thierry, Thouvenin, Minié, Whitworth, Lefauchaux, Treuille de Beaulieu, Robert, Manceau i Vieillard, Dreyse, Chassepot, Galand, nakoniec karabiny systemu Winchester'a i strzelba rewolwerowa p. Jarre.

Nie zamierzamy tu szczegółowo rozbiierać tych różnych systemów broni palnej, podobnie jak iglicówek pruskich wynalezionych przez Dreysego jeszcze w r. 1827; opis ich bowiem zamieszczony już był w N-rze 357 Tygodnika Ilustrowanego z r. z. Fabrykacja strzelb tych na wielką skalę rozpoczęła się w Prusach r. 1841, a w r. 1850 dwadzieścia dwa bataliony w nią uzbrojono, wprowadzając odtąd broń tę stopniowo do piechoty i jazdy. Dziś nawet landwerę zaopatrzono w iglicówki.

Piechota pruska, sformowana w trzy szeregi jak za czasów Fryderyka Wielkiego, dopuszcza zwykle nieprzyjaciela na 150 kroków, i wtedy dopiero przyjmuje go ogniem nieustającym na chwilę. Jazda podobną taktykę zachowała przeciwko szwadronom austriackim na polu Sadowy. Czynniono wiele zarzutów broni pruskiej. Cofanie się kolby po wystrzale miało być tak gwałtowne, że opierać jej o ramię było niepodobniestwem; karabinowi zarzucano ciężkość i łatwe uszkodzenie, całemu wreszcie mechanizmowi zbyt zbyteczną komplikacją; tych wszystkich wad nie sprawdziło doświadczenie. Ciężar iglicówki z bagnetem 14 funtów nie przechodzi; igła wprawdzie niekiedy się łamie, lecz żołnierz ma zawsze w pogotowiu igły zapasowe, a jeden obrót wystarcza dla wydobywania zepsutych. Co do mechanizmu, ten istotnie przedstawia pewne niedogodności: spojenia w nim nie są dość szczelne do powstrzymania wpływu gazów, zamykanie i otwieranie tyłca odbywa się z trudnością gdy broń się mocno rozgrzeje; pomimo tego wszakże zalety karabinu iglicowego są niepospolite, bo daje on 5-6 strzałów na minutę, bije z nieporównaną celnością na 180 sążni, a niesie do 400 sążni. Jeżeli w obec tych korzyści nie wszystkie państwa zaprowadziły u siebie nowy sy-

powierzchnią K. Dla zabezpieczenia tej części od wywieranego na nią ciśnienia, osadzone jest w I kółko na rysunku niewidoczne, za pomocą którego ta część suwa się wzdłuż płatki H. Pociągając kurek BK, stanowiący część pochwy DD czyli cylindra żelaznego, zawierającego sprężynę igielki, broń jest opatrzoną, Chcąc otworzyć komorę, odprowadza się tylec M za pośrednictwem rączki A; ładunek kładzie się w wydrążenie C, pomiędzy A a tarczą stalową promienia mniejszego od promienia komory. Poniżej tarczy znajduje się mały walec kauczukowy, zajmujący dokładnie średnicę komory. Walec ten silnie nagalwanizowany jest po brzegach niż w środku, dlatego pod wpływem ciśnienia gazów część środkowa kauczuku ustępuje i nie pozwala uchodzić parom gazowym pomiędzy spojeniami tyłca ruchomego i lufy. Odpychanie broni po wystrzale jest tu słabsze daleko jak w iglicówce pruskiej. Gdy chodzi o zamknięcie broni, popchnąć należy rączkę A, a następnie przechylić ją na bok; pierwszym poruszeniem wypycha się ładunek w lufę, drugim osadza nieruchomo tylec, umieszczając część wydatną rączki G w ząbieniu F. Cyngiel za pociągnięciem puszcza sprężynę igielki i odwodzi kurek.

Broń Chassepot'a przedstawia wiele uproszczeń; w czasie nabijania igielka pozostaje wsuniętą w pochwę, wybiega zaś dopiero w chwili strzału. Skutkiem tego eksplozja ładunku podczas nabijania jest niemożliwą; nadto gaz nie uchodzi wcale przez spojenia, nie sprowadza zanieczyszczenia i działa całą swą masą na szybkość i siłę pocisku w lufie kalibru 11 milimetrów, opatrzonej w 4 gwinty spiralne. Waga karabina w który zaopatruje się obecnie armia francuzka nie przechodzi 8 funtów, bagnet lżejszy od dawnego, a szybkość i dalekonośność broni jest nieporównana, daje bowiem 12 strzałów na minutę i bije z nadzwyczajną celnością na 290 sążni. W odległości 580 sążni, na 100 pocisków połowa przebija tarczę; nakoniec siła rzutu dosięga 1080 sążni (1<sup>3</sup>/<sub>4</sub> wersty), to jest odległości w której niepodobna widzieć celu. W porównaniu przeto z iglicówką pruską, broń Chassepot'a ma wyższość niezaprzeczoną, biorąc zwłaszcza pod uwagę, że dopiero po 250 strzałach lufa potrzebuje

(\*) Równoważnik chloranu potażu = 367,5; równoważnik siarczynu antymonu = 333,6 części, więc obu ciał są prawie równe.

(1) Obecnie wynalazł on małe działa przenośne, mające podobno dawać 60 strzałów kartaczami na minutę (?). Konstrukcja ich dotąd trzymana w tajemnicy.

## LISTY Z WYSTAWY PARYŻKIEJ.

## IV.

Paryż, 18 maja 1867 r.

oczyszczenia, gdy w iglicówce po 50-ciu lufa się mocno zanieczyszcza. Próby odbywane na płaszczyznach pod Châlons okazały nadto, że po 1200 wystrzałach broń wynalazcy w żadnej swej części nie doznaje najmniejszego uszkodzenia.

Nie wdajemy się w bliższe szczegóły konstrukcji broni francuskiej, jest ona bowiem, jak powiedzieliśmy wyżej, ulepszoną iglicówką, której składowe części już czytelnikowi są znane; przechodzimy przeto do strzelby-rewolweru, wynalazku p. Jarre, dającej 90 strzałów na minutę. Słyszając tę detonację szybką, niustającą prawie, zdaje się że cały pluton utrzymuje ogień. Strzelba Galanda, karabiny Dreysego i Chassepot'a odznaczają się głównie sposobem nabijania i ładunkiem; w rewolwerze nowym zwraca uwagę mechanizm. Część ruchomą, obracającą się za każdym strzałem, zastępuje tu płatka poziomo ułożona, podsuwająca lufie kolejno ładunki. Wyobraźmy sobie broń zwyczajną, z kurkiem i innymi częściami. Otóż lufa tuż przy tylcu rozcięta jest równolegle do poziomu; w szczelinę wchodzi mała płatka 15 centymetrów długości i kilka centymetrów szerokości mająca, przedstawiając w przecięciu dziesięć lufek krótkich, z których każda robi obrót i w chwili właściwej opiera się z jednej strony o tyłek, z drugiej zaś zamyka lufę. We wszystkie po kolei te lufki kładą się ładunki, poczem wpuszcza się płatkę w szczelinę broni i pociąga za cyngiel, kurek spada, uderza w piston ładunku z masą piorunującą, znajdującą się w pierwszej lufce, i wystrzał następuje bezwzględnie; jednocześnie prawie kółko zębate będące pod kurkiem, pociąga w równoległym do poziomu kierunku płatkę ruchomą o jeden dalej karbik, a wtedy druga znowu lufka z ładunkiem przesuwana się szybko i za pociągnięciem cyngla strzał wystrzela. I tak za każdym naciskiem cyngla, kółko wewnętrzne działać będzie na płatkę, popychając ją od strony prawej na lewą o jeden karbik tak dokładnie, że wszystkie lufki kolejno nasuną się i dadzą ognia.

Mechanizm ten nie wymaga żadnych ostrożności w obsłudze; magazynem ładunków jest tu sama broń, podająca je otworowi lufy za pomocą karbików za każdym strzałem; jedyną czynnością jest regularne pociskanie cynglem. Mając w ładownicy 20 małych platek nabitych ładunkami, dostateczną będzie sekunda do wpuszczenia ich w broń, a ponieważ każda zawiera 10 ładunków, dwóch ludzi przeto podobnie uzbrojonych opierać się może plutonowi, a 4-ch żołnierzy, reprezentujących w tych warunkach 800 strzałów, bronić się zdoła równie dobrze jak czworobok piechoty.

Żaden system nie może równać się pod względem łatwości nabijania i szybkości strzałów z wynalazkiem p. Jarre; próby z tą zdumiewającą bronią odbyte, wykazały jednak, obok wysokich jej zalet, ważne niedogodności. Wyrzuca ona po każdym strzale smugę ognistą, na metr prawie długą, pochodzącą z prochu palącego się niepotrzebnie, bez zwiększenia siły pocisku; w miejscu zwłaszcza gdzie wsuwa się płatka z ładunkami, wpływ gazów płonących jest tak silny, że niepodobna byłoby strzelać w szeregach, bo ogień popaliłby odzież i ciało; szybko po sobie następujące strzały osłabiają ściany lufy; nakoniec kurz i dęszcz, padając na kółko zębate pociągające płatkę z ładunkami, zanieczyszczają je, przez co w takich razach nie działa ono regularnie. Pomimo tego broń p. Jarre dla tyralierów i obrony indywidualnej pozostanie nieoszacowanym nabytkiem.

W czasie wielkiej wojny amerykańskiej, broń wynalazku Winchester'a, dająca strzał na sekundę, zyskała szeroki rozgłos; 15 ładunków umieszczonych w rurze osadzonej równolegle do lufy i nad nią górującej, za pomocą łatwego mechanizmu, kolejno do lufy przechodzi; żołnierz, nie odejmując karabina od ramienia, może piętnaście razy wystrzelić i w jednej chwili takąż ilość ładunków broń napełnić. Rząd szwajcarski zamierza obecnie wojsko swe w nią zaopatrzyć, próby bowiem wypadły bardzo pomyślnie. Szczegółów dotyczących budowy karabina p. Winchester'a nie mamy, równie jak nowowynalezionych dział przenośnych p. de Brettes, które być może usuną zupełnie dotychczasową konną w artylerii obsługę, upraszczając przytém niezmiernie operacje militarne.

(Dokończenie nastąpi).

Z chwilą obecną wystawa paryżka rozpoczyna drugi, najświetniejszy peryód swego istnienia. Wszystkie oddziały, przejścia, zaułki olbrzymiego pałacu w najzupełniejszym są porządku; ustał huk młotów, trzask otwieranych pak, okurzenie przedmiotów, zamilkły różnojęzyczne nawoływania, swary i nieporozumienia; wszyscy są radzi, zadowoleni, szczęśliwi, że po tylu przeszkodach, trudnościach i niepewnościach wielki cel zwabienia na nowożytnie igrzyska tłumów ciągnących z północy i południa, wschodu i zachodu, osiągnięty wreszcie został. Sto trzydzieści pociągów zbiegających się w Paryżu, wyrzuca każdodziennie na bruk tutejszy setki tysięcy podróżnych, a wszyscy, biali i czarni, młodzi i starzy, królowie i pachołki dążą na pole Marsowe, przekształcone, zgodnie z dzisiejszymi pojęciami, w świątynię pokoju. Ile i jakich potrzeba było zabiegów i wysiłku, ile upokorzeń i ustępstw, by postawić na swoim, nie do nas sądzić należy; to tylko wiemy, wnosząc z promieniających fizyognomij tutejszych traktierników, kramarzy i hotelników, że każdy cudzoziemiec drogo zapłacić musi za serdeczną i życzliwą z jaką tu jest przyjmowany. Synowie Brennusa pozostali wiernymi tradycji przekazanej im przez zwyciężcę Rzymu: chcą złota i mieć je będą; obliczyli tylko i słusznie, że dziś innymi środkami nabywać je trzeba, przekuli więc miecz na rożen. Dziwne uczucie niesmaku i wstrętu jakim przejęty być musi każdy kto głębiej wniknie w tutejsze społeczeństwo, ustaje wówczas tylko, gdy przestąpimy progi zakładów naukowych, muzeów, galerij, zbiorów, a jak obecnie, pałacu wystawy.

Tu, jakby za dotknięciem czarodziejskiej laseczki, ukazuje się świat inny, nowy, nieznan, jaki tylko z sennyh marzeń odwzorować sobie można; tu wszystko tchnie prawdą, nauką, sumienną i uczciwą pracą, rozumem, wolnością, bogactwem nabytym nie kosztem honoru i godności moralnej, ale kosztem głębokich badań nad darami natury i najumiętniejszym, najwłaściwszym przyswojeniem ich dla dobra i pożytku całej ludzkości. Filozof, historyk, artysta, rzemieślnik i rolnik, królowa i wyrobnicza, każdy ktokolwiek raz tu zajrzy, ulega mimowiednie oddziaływaniu otaczających go skarbów, wdycha powietrze przesycone inteligencją, czuje się dumnym że należy do tego rodzaju istot i w tej żyje epoce, która tyle i tak wielkich zdziałała rzeczy. A jak dalece to poczucie uwielbienia jest tu wszystkim wspólne i naturalne, jak dalece najróżnorodniejsze zajęcia, skłonności i gusta przyjmują tu jeden tylko kształt *rozumnej ciekawości*, niech wam posłuży za dowód ta okoliczność, że najznakomitszy ze współczesnych rzeźbiarzy *Vela*, godzinami całymi stoi przed maszyną do robienia butów, że *Rosa Bonheur* każe jakie dziesięć razy tłumaczyć sobie budowę przyrządu do czesania lnu, gdy tymczasem tłumy rzemieślników, szwaczek i praczek otaczają *Ostatnie dni Napoleona I*, precudne krajobrazy wielkiej artystki, lub obraz *Matejki*, do którego trudno się nam w tej chwili docisnąć. Ponieważ jednak jesteśmy w bliskości naszego oddziału, tam więc pójdziemy na chwilę.

Poprzedni mój list, o ile sobie przypominam, zakończyłem wśród huku trąb i brzęczenia fortepianów. Wierny memu obowiązкови sprawozdawcy, powrócić do nich muszę. Palma zwycięstwa na obecnej wystawie przyznana została fortepianom amerykańskim. Dom Stenway otrzymał wielki medal złoty (*grand prix d'honneur*). Jestto najpotężniejsza w całym świecie fabryka, dostarczająca tygodniowo około 100 instrumentów. Pierwsze po niej miejsce zajmują francuskie, dalej angielskie; wszystkie inne, jakoto berlińskie, wiedeńskie i t. p. do jednej należą kategorii. Powtarzam raz jeszcze, że mówiąc o naszym przemyśle, unikać będę *wszelkich* porównań; ale dla wiadomości naszych artystów, amatorów i amatek, oraz w interesie samych wystawców winieniem przytoczyć tu zdanie znawców, że fortepiany *Kralła*, oraz *Mateckiego* i *Szredera* doskonale dotrzymują placu niemieckim. Sama wystawa jest dowodem najlepszym ich wytrwałości: rąbią na nich codziennie, a jednak nie rozstroili się dotąd.

Sędziowie oddawali im wielkie pochwały, mniemać więc należy że po tej próbie nie jeden otrząśnie się z przesądu i zamiast szukać berlińskich i wiedeńskich, poprzestanie na równie dobrych, jeśli nie lepszych, warszawskich.

Wzmianka o instrumentach przypomina mi muzykę. Więcie zapewne że w Brukselli wykonano z wielkim powodzeniem mszę *Brzowskiego*. Wszystkie dzienniki belgijskie z największymi odzywają się pochwałami o tém dziele naszego artysty, a jak dalece pochwały te słuszne być muszą, biore miarę z tego, że orfeoniści brukselscy zamieścili w programacie swych koncertów, jakie urządzą w pałacu wystawy, wyjątki z tego utworu.

Narzędzia chirurgiczne, fizyczne i matematyczne, należące do klasy 11 i 12, reprezentowane są przez panów Pika, Gerlacha, Wejsbluma i Majewskiego. Przyrządy Pika i Wejsbluma należą do zwykłych; niema w nich ani nowości pomysłu, ani ulepszenia; wyglądają czysto i porządnie, jak wypadają na przyzwyczajony towar. Zdaje mi się nawet, że jeden z przyrządów elektrycznych podróżował już po Europie; dlatego powinienby być umieszczony w oddziale *przeszłości* (*histoire du travail*). Pantograf Gerlacha jest bardzo troskliwie wykończony, o ileż odznacza się dokładnością, ocenić trudno, przez szkło i zamki bowiem dostać się doń nie można. W tej gałęzi wyrobów pierwsze miejsce zajmują Francja i Anglia, po nich idą Bawaria i Szwajcaria. Na francuskiej wystawie szczególnie zwracają uwagę wyborowe mikroskopy, nieporównanej doskonałości, z fabryki *Hartknoch* i *Prażmowski*. Nowe udoskonalenia wprowadzone w szlifowaniu i układzie soczewek, oraz konstrukcji tych instrumentów, doprowadziły je do bajecznej dokładności. W oddziale bawarskim przoduje *Mertz*, który między innymi dał dwie soczewki do teleskopów, jedną wielkości dużej salaterki, w cenie 24,000 franków, drugą mniejszą za 18,000 fr. Obie są już sprzedane i gdyby nie wywieszona cena, niktby nie uwierzył że dwa szklane talerze kosztować mogą 12,000 rubli. Dodać tu winniemy, że w naszym obserwatorium znajduje się teleskop budowy Mertza, który kosztujący przeszło 5000 rs. Szwajcaria nadesłała przepyszne narzędzia miernicze i geometryczne. Przyrządy *Amstera* (z Szafhuzy), reiscegi *Kerna* (z Aarau) zadziwiają swym ogromem; ostatni mianowicie wystawił dwa reiscegi srebrne, zawierające po 400 sztuk: najróżnorodniejsze cyrkle, grafiony, podziałki, kątowniki, słowem wszystko o czem tylko budowniczy, inżynier lub rysownik pomyśleć może. Ułożone są w ozdobnych bardzo pudłach i futerałach fabryki *Borzyński* (w Genewie), który dostarczył liczne i nader gustowne próby wyrobów introligatorko-galanteryjnych.

Grupa III (meble i przedmioty należące do urządzenia mieszkań) dzieli się na klas 13, mianowicie od 14 do 26. Pomijając inne nazwiska, wspomnieć tu głównie wypada o obiciach *Vettera*, szklach i kryształach z fabryki *Hordliezki*, wyrobach platerowanych *Frageta* i ceratach *Kulchorowskiego*. Pierwsze bez zaprzeczenia miejsce zajmują tu wyroby *Frageta*, chociaż nie uderzają ogromem rozmiarów, lub ilością, ale widać na każdym z nich piętno dobrego smaku, starannego wykończenia, dbałości o utrzymanie zyskaną już wziętości i zadowolenie nabywcy. Rysunek i kształt każdego przedmiotu jest poprawny, ozdoby umiarkowane, wszystkie zaakraglenia czyste i dokładne, a ceny w porównaniu z zagranicznymi bardzo przystępne. Jużto w ogóle o obecnej wystawie powiedzieć można, że przedmioty codziennego użycia postawione są w cenach nadzwyczaj przystępnych. Zastosowanie machin do każdej gałęzi przemysłu niezmiernie i głównie wpływać musi w tym kierunku. Wprawdzie cierpi na tém sztuka, estetyczna strona przedmiotu gaśnie i niknie pod naciskiem pary i tłoku, ale zkadnią zamiłowanie porządku, upodobanie w przedmiotach kształtniejszych i wykwinniejszych przenika we wszystkie warstwy społeczne i więcej przyczynia się do postępów cywilizacji, aniżeli wszystkie ustawy, uchwały i rozporządzenia rządowe. Zachód Europy nęci i zadziwia oko niezwykłą dla nas czystością i porządkiem zewnętrznym. Niedostatek i ubóstwo ma tu swą godność osobistą. Niemcy mianowicie są pod tym względem nieprześcignięci; wystawa téż niemiecka, a mówiąc językiem dzisiejszym *pruska*, nie tyle zaleca się przepychem, ile nagromadzeniem i





prawa wątpić o mnie, to w przyszłości mojej, w szacunku i szczęściu księżniczki. Gdziekolwiek ona będzie, pójdę za nią, póki sama mnie nie odepchnie, póki jej własne usta mnie nie potępią.

Hrabia wpatrywał się czas jakiś we mnie z wyraźnym zdumieniem. Znać nie spodziewał się spotkać tyle energii i otwartości. Dyplomacja jego była znowu wytraconą z kolei. Zrozumiał że mnie lekceważyć nie mógł, że miał godnego siebie przeciwnika, i odrazu zmienił taktykę. Wargi blade, drgające, znów zmusił do uśmiechu.

— Nie dziwię się, rzekł z błyskawicą zawiści, która nie uszła oka mego, że za panem kobiety szalały; masz dziwnie energiczny sposób stawiania i rozwiązywania kwestyj, może wbrew obyczajom przyjętym, ale z rodzajem logiki namiętnej, która najłatwiej trafia do ich przekonania. Szkoda że przeminięły czasy Bartolów i Almawiwów; lepiej od nich potrafiłbyś pan wykraść Rozyne.

Mówił to nawpół szyderczo, nawpół przyjaźnie; widać chciał sobie w każdym razie zostawić drogę odwrotu.

— Bądź jak bądź, jutro księżniczka opuści Maniowę.

— Opuścić Maniowę? a to dlaczego? spytał dziwny głos za nami.

Obejrzelśmy się szybko: we drzwiach od balkonu stała Idalia, z pękiem polnych kwiatów w ręku. Znać usłyszała ostatnie słowa Herakliusza, bo zatrzymała się na miejscu, może pojmując ważność tej rozmowy, bo uśmiech zamięrał na jej ustach i bacznie śledziła nasze twarze.

Na dźwięk tego głosu Herakliusz zwrócił się ku niej, wyraźnie zmieszany tą nagłą przerwą. Ja stałem na miejscu, spoglądając na nią. Nigdy jeszcze nie wydała mi się tak piękną, jak w owej chwili. Ponad brudnym światem i małymi względami jego, z tym wyrazem dziecięcej niewinności w oczach, z tą nieznaną czystością czoła, stała przy nas, niezdolna prawie zrozumieć słów które zamieniliśmy z jej powodu.

Czemuż los postawił ją tak wysoko, otoczył tym wszystkim co brudne żądze rozniecić może? Czemuż nie mogłem oddzielić jej od jej bogactw, od świata całego, i unieść jak orzeł ponad chmury, by nawet jej stopy nie zbrudził pył ziemski? Milczałem, topiąc w niej pełne miłości i zachwyty spojrzenie.

Ona rozumiała je widać, bo zbliżyła się do mnie, wyciągając rękę na powitanie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Przegląd polityki zagranicznej.

24 maja.

Z wpływem bieżącego tygodnia uważać należy kwestyą luksemburską za zupełnie załatwioną, wszystkie bowiem rządy interesowane podpisały już traktat londyński. Pozostaje więc tylko wykonanie warunków zatwierdzonych przez konferencyą, co żadnej już wątpliwości ulegać nie może, zwłaszcza że stosunki gabinetu berlińskiego z paryżkim z każdym dniem polepszają się tak dalece, iż dzienniki nawet o przymierzu serdecznym przebąkiwać zaczynają. Podstawą tej zgody ma być z jednej strony chęć gabinetu berlińskiego urządzenia stanowczego Niemiec, z drugiej wspólność zapatrywania się Prus i Francji na sposób rozwiązania kwestyi wschodniej. Nowiniarze zapewniają, że serdeczna zgoda Francji z Anglią przyczyniła się niemało do wytworzenia dzisiejszego porozumienia z Prusami. Na poparcie tego wszystkiego, dzienniki austriackie podają wiadomość o projekcie cesarza Napoleona, dotyczącym zwołania nowej konferencyi w kwestyi wschodniej, celem przejrzenia traktatu z 1856 roku. Zapewniają także iż sułtan zgadza się na przyjęcie udziału w tej konferencyi i że nawet sam zamierza przybyć do Paryża, w towarzystwie licznego orszaku, składającego się z 500 osób. Byłaby to pierwsza podróż tureckiego władcy do krajów chrześcijańskich.

Coraz częstsze a smutne wiadomości z Meksyku, potwierdzać się zdają koniec nieszczęśliwych rządów cesarza Maksymiliana. Juariści tryumfują

na wszystkich punktach. Po zdobyciu Puebli, nastąpiło wzięcie Queretaro, przyczem generał Miramon zginął, dalej zwycięzki pochód ku stolicy, której jedna część znajdować się już ma w rękach republikanów. O losie samego cesarza nic nie wiadomo, według jednych bowiem ranionym został i wziętym do niewoli, według drugich zdołał uciec przebrany i dostać się do brzegów morskich. Ostatnie depesze austriackie donoszą, że stan umysłu cesarza Karoliny coraz jest gorszym, tak iż lekarze oświadczyli, że niema żadnej nadziei polepszenia. W kwestyi reorganizacyi armii, rząd francuzki poniósł ciężką w ciele prawodawczym porażkę, komisyja bowiem większością 14 głosów przeciw 2 odrzuciła projekt rządowy, z uwagi że nowe prawo pozbawiłoby izbę przywileju ustanawiania corocznego poboru. Wypadek ten tak silnie w sferach wyższych zrobił wrażenie, iż obawiano się aby rząd nie rozwiązał zgromadzenia. Nareszcie, z inicjatywy samego Napoleona III, p. Rouher przeprowadził porozumienie na tej zasadzie, iż wymagana przez rząd liczba 800,000 ludzi przyjętą zostanie na ten rok tylko, w następnych zaś latach oznaczanie wysokości kontyngensu należeć znowu będzie do wyłącznych atrybucyj ciała prawodawczego. O szczegółach zamierzonych w Paryżu uroczystości, celem uczczenia dostojnych gości, nie omieszkamy dać czytelnikom obszerną w czasie właściwym wzmiankę.

W dniu 20 b. m. otworzoną została w Wiedniu rada państwa. Posiedzenia izby panów zagał książę Auersperg, izby niższej p. Giskra. Obaj ci panowie, chociaż w odmiennych wyrazach, jednakie wszakże wyjawili myśli i dążenia; zaznaczenie ciężkiego położenia monarchii, konieczność stworzenia nowych warunków potęgi i bytu Austrii, oto główna treść tych dwóch mów sejmowych. Mowy tronowej dotąd nie mamy, zdaje się wszakże iż treścią niewiele się od dwóch pierwszych różni. W mowie p. Giskra zauważano nadto ustęp wykazujący potrzebę nadania obu częściom państwa (cis-i i translitawskim) jednakowych ustaw i nacisk na konieczność odmiany pewnych traktatów, t. j. konkordatu z Rzymem, który z każdym dniem coraz więcej liczy przeciwników. Z tym wszystkim upragnione pogodzenie wszystkich interesów nie jest łatwem, jak to np. widzimy w Kroacji, kędy sejm, pomimo otrzymania od korony przywileju nietykalności posłów, nie chce wybrać deputacyi koronacyjnej do Pesztu, dopóki rząd nie cofnie wyrzeczonego przyłączenia do Węgier miasta Fiume. Wśród tych wewnętrznych trudności, p. Beust nie zasypia podobno i spraw zagranicznych, przypisują bowiem temu ministrowi wyraźne dążenie do zatrzymania Prus nad Menem i niedopuszczania ich do złączenia się z południem, co nam się wszakże bardzo wątpliwem wydaje. Z Berlina donoszą, że ogół publiczności z radością przyjął obrót pokojowy kwestyi luksemburskiej, lecz nie braknie i takich, którzy w tém widzą utratę prowincyi niemieckiej. W Hanowerze odkryto agitacyą na korzyść b. króla Jerzego, co spowodować nawet miało liczne w wyższych klasach społeczeństwa aresztowania. Na rewizyi odbytej u bankiera Adolfa Meyera w Hanowerze, znaleziono 40,000 talarów króla Jerzego i skonfiskowano. Depesza z Frankfurtu z dnia 21 b. m. zapewnia, że Francya zaprosiła mocarstwa europejskie na konferencyą monetarną na d. 17 czerwca i że większość rządów zgodziła się na to. Ustalenie jedności monetarnej w całej Europie, byłoby jednym z najdonioślejszych faktów ekonomicznych XIX-go stulecia.

Ze Wschodu nic dziś ważnego niema; zdaje się tylko że Omer-basza nie może podołać powstaniu greckiemu, pomimo licznych sił i szumnych ze swej strony zapowiedzi. Zaznaczyć też można notę Fuada-baszy do rządu greckiego przesłaną, w której Porta uskarża się na brak, a raczej na złamanie przez rząd ateński neutralności. Jak dotąd, nota powyższa pozbawioną jest wielkiego znaczenia. Z Belgradu piszą pod dniem 19 b. m.; że stojący na granicy serbskiej Czerkiesi, którzy tam oczekiwali pozwolenia rządu belgradzkiego udania się przez Serbią do Rosyi, zostali przez Turków gwałtem uprowadzeni w głąb Turcyi. Fakt ten nie obszedł się bez oporu; ztąd kilku Czerkiesów poległo.

**Ostatnie depesze.** Wiedeń, 22 maja. Cesarz zagał otwarcie posiedzeń rady państwa przemową, w której zaznaczył zgodę z Węgrami, konieczność oparcia konstytucyi na bezpiecznej podstawie i rozszerzeniu autonomii pojedynczych krajów i zakończył życzeniem, aby Austriya trwała i kwitnęła do najpóźniejszych czasów.

Konstantynopol, 21 maja. Szach perski nie przyjął zaprosin cesarza Napoleona na wystawę. Sułtanowi towarzyszyć będzie w podróży do Paryża kilku młodych książąt.

Berlin, 22 maja. O podróży króla Wilhelma do Paryża rozpuszczono zawczasie pogłoski, monarcha ten bowiem wyjedzie na wystawę dopiero w czerwcu, po zamknięciu sejmu.

(W. T. B. Schles. Ztg. France. Ind. Bel. Jour. d. Deb.)

Czytamy w Dzienniku Warszawskim z d. 19 maja:

(Przybycie sławian do Warszawy).

Wczorajszy Warsz. Dniw. pisze: „Nasi goście przybyli do Warszawy, tak jak zawiadomiliśmy naprzód, około godziny 12ej w nocy (wczoraj). Tłum rosyjan, 30—40 osób, pomiędzy którymi były i damy, powitał przybyłych na platformie i prosił ich zaraz, aby udali się do hotelu europejskiego, gdzie na gości czekała przekąska i herbata. Wszyscy rosyjanie pytali się: gdzie Palacki? gdzie Rygiel? — lecz nie przyjechali jeszcze oni. Powiadają: przybędą osobno, dziś, ponieważ w dniu wyjazdu swoich z Pragi, obydwa znajdowali się w Paryżu i nie mogli połączyć się z wszystkimi. Wszystkich naszych gości jest 62; z nich najwięcej czechów; lecz są także chorwaci, serbi i galicyjanie. Przyjechałoby ich bez porównania więcej, gdyby nie spotkano pewnych przeszkód... W hotelu europejskim, przy historycznym stole, w historycznej sali trwała dosyć długo (prawie do godziny drugiej) ożywiona kolacya. Nie padęło najmniejszej wątpliwości, że wszystko to są sławianie. Sławiański typ twarzy, mówił sam za siebie przekonywająco. Dostrzegliśmy że herbata była najbardziej na dobie. Żądano jej więcej niż czegokolwiek innego. Ubranie naszych gości było dość różnorodne, lecz wszystko po podróżnemu, czamarki, paltoty, surduty... czamarek zdawało się najwięcej. Nie można powiedzieć aby mowa tej sławiańskiej masy była zupełnie zrozumiała dla częstujących, jednakże rozmowa szła niezłe. Przejście do ogólnie zrozumiałego języka było nie trudne... lecz przez cały czas ani jeden wyraz nie był powiedziany w języku ogólnie zrozumiałym. Słyszeliśmy od niektórych przybyłych, że na granicy był obiad, przyczem Erben miał krótką mowę, którą podamy następnie czytelnikom. Był wniesiony toast za zdrowie Najjaśniejszego Pana; potem odpowiadali nasi deputaci. W Częstochowie była przekąska z muzyką. Miejscowe władze pokazywały gościom klasztor częstochowski; duchowieństwo klasztorne wyszło na spotkanie z obrazami. Dziś (wczoraj) przed obiadem, gościom pokazywano miasto, poczynając od zwiedzenia świątyni: katedry prawosławnej, kościoła św. Jana, — a skończywszy na Łazienkach. Lecz o tém wszystkiém pomówimy jutro.“

## HISTORIA RZYMSKA MOMMSENA.

Zeszyt 8my wyjdzie 1 czerwca r. b.  
Całe dzieło składać się będzie z 4 tomów, czyli zeszytów 36.—Cena rsr. 8.—Prenumerata przyjmuje się po rsr. 1.

Pragnący na prowincyi mieć to dzieło, przysłać raczą pod adresem wydawcy rsr. 4, oraz przy odbiorze zeszytu 12go drugie rsr. 4, a egzemplarze będą sobie mieli przesłane franco.

Józef Unger.